Cena zł. 1.30

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

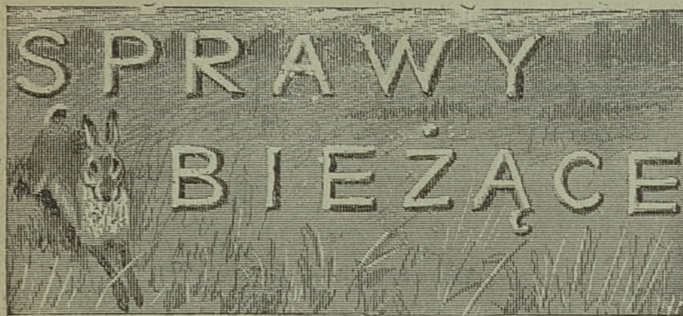
1 Luty 1926.

Nr. 3 (75).

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI i ŁOWIECTWO POLSKIE

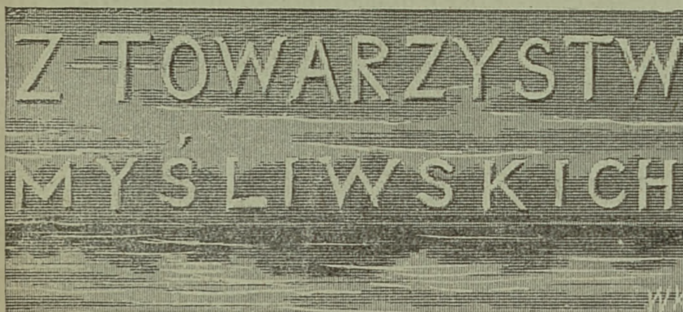


DZIK.



CZWARTKI MYŚLIWSKIE.

Dobrą myśl miało Warszawskie Towarzystwo Łowieckie, inaugurując „czwartki myśliwskie". Po bardzo ciekawym referacie mecenasa Garczyńskiego o prawodawstwie łowieckiem i po przepięknym odczycie Juljana Ejsmonda p. t. „U źródeł łowiectwa na ziemiach polskich", w dniu 4 lutego wygłosi odczyt w Towarzystwie Łowieckiem (Nowy Świat Nr. 35), znakomity ornitolog i myśliwy, redaktor „Łowca Polskiego", prof. Jan Sztolcman „O sporach myśliwskich". Początek o godz. 8-ej.



Z TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO WOJEWÓDZTWA KRAKOWSKIEGO W KRAKOWIE (ul. Kremerowska 12).

Wpisani zostali w poczet członków pp.: Wacław Anczyc, wł. druk., Kraków; inż. Józef Bilczewski, Kraków — Dębniki; Jerzy Bulowski, wł. dóbr Pisarzowce górne; inż. agron. Bolesław Buszczyński, Kraków; ppułk. Ernest Cieślewski, Kraków; Stefan Dunikowski, wł. dóbr Stróże; Andrzej Gardulski, adm. dóbr Wojsław; dr. Zygmunt Herczka, dyr. Tow. przem.-leśn., Kraków; kpt. Jakób Kapłon, Kraków; Gustaw Różecki, wł. dóbr Młoszowa; mjr. Bronisłtw Rozmaniszyn, Zakopane; dr. Józef Sierankiewicz, lek., Brzeszcze; Antoni hr. Starzeński, wł. dóbr Płaza; inż. Wiktor Strzemeski, nadinspekt. górn., Jaworzno; mjr. dr. med. Antoni Surowiec, Kraków; dr. Witold Sygiericz, adw., Kraków; inż. Zygmunt Wasyliszyn, nadrad. górn., Kraków i Jan Wykowski, wł. dóbr, Kraków.

Zgodnie z zapowiedziami w odezwach naszych z maja i września 1925 r., oraz z odezwą Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie z października r. z., Towarzystwo nasze przez swych delegatów, pp. dr. A. Lardemera i St. Morawetza, przeprowadziło w dn. 16.XII r. z. z Małop. Towarzystwem Łow. wstępną konferencję w przedmiocie nawiązania bliższego stosunku pomiędzy obydwoma Towarzystwami. Stosunek taki uznały oba konferujące Towarzystwa za nieodzowny w interesie tem wydatniejszej współpracy dla ogólnego dobra patronowanej przez nie wspólnej idei na polu krajowej gospodarki łowieckiej. Z rozwiniętej na tem tle ożywionej i szerszej dyskusji, okazało się, ku wzajemnemu zadowoleniu obu stron, że porozumienie takie w zasadzie jest możliwe, a w ślad za tem oczekiwać należy, że sprawa organicznego skoordynowania działań obydwóch Towarzystw na terenie Małopolski, po uzyskaniu aprobaty ze strony kompetentnych organów Towarzystw, stanie się niedługo faktem dokonanym.

W dniu 7.XII r. z. odbyło się posiedzenie Wydziału, na którem, poza sprawami bieżącemi, omawianą była także powyższa sprawa kontaktu z Małopolskiem Towarzystwem Łowieckiem.

Członków, zalegających, mimo kilkakrotnych przypomnień, od dłuższego czasu z opłatą wkładek, prosimy ponownie o rychłe, chociażby ewentualnie częściowe, uregulowanie zaległości (zł. 8 za pojedyńczy kwartał—konto P.K.O., Kraków Nr. 405.265), ażebyśmy nie byli postawieni w przykrej konieczności wstrzymania im wysyłki „Przeglądu". Zaległości te dotyczą prawie że wyłącznie członków zamiejscowych. Pragnąc intensywniej rozwinąć Towarzystwo dla tem większego pożytku naszego krajowego gospodarstwa łowieckiego, musimy doznawać ze strony wszystkich naszych członków chętnej pomocy conajmniej w tym kierunku, ażeby wkładki ile możności, regularnie wpływały do Kasy Towarzystwa. Wobec tych pp. członków, jak dotąd jeszcze niezbyt licznych, którzy nadto dają Towarzystwu dowody swej życzliwej i czynnej pamięci przez pozyskiwanie nowych członków, poczuwamy się do tem milszego obowiązku wyrażenia im także na tem miejscu serdecznej podzięki za przychylność i trudy, niesione w ofierze naszej idei łowieckiej. Tak samo zobowiązani bylibyśmy wobec wszystkich innych członków Towarzystwa, gdyby każdy z nich, poza możliwie regularną opłatą wkładek, zjednać mógł wzgl. zechciał chociażby po jednym nowym członku dla Towarzystwa, czy to z pośród interesowanych dla sprawy osób miejscowych, czy też zamiejscowych. „Po ziarnku... do ziarnka...", a w myśl złotych słów poety, „uzbiera się miarka", a wówczas Towarzystwo, po myśli swych zadań statutowych i w „miłości" dla łowiectwa, będzie miało i mogło w istocie

czem „ważyć“ i „szafarzyć“. Nadmieniamy tu także, że na samym obszarze województwa Krakowskiego byłoby jeszcze dużo do zrobienia, gdyż łączna ilość członków z tego terenu, przynależnych do krakowskiego i lwowskiego Towarzystwa Łow. nie wynosi ani 1/6 części prawidłowych myśliwych na tym obszarze zamieszkałych.

Odnośnie do sprawozdania naszego z dn. 26.XI. r. z., zamieszczonego w Nr. 24 (72) „Przeglądu“ z 15.XII. r. z., zaznaczamy, że na str. V, ust. 4, wiersz 3-ci, po słowie „polowań“, opuszczono w druku następujące słowa: „Zarówno pojedyńczych, jak i późniejszych, zbiorowych, komunikować nam na czasie rezultaty, odbytych polowań,“.

Podnosimy tu z wysokiem uznaniem życzliwość dla spraw ogólno-łowieckich ze strony W. Szan. Administracji dóbr Hrabstwa Potockich w Krzeszowicach, która na skutek uzasadnionego doniesienia naszego o nawykowem kłusownictwie, uprawianem na sąsiednich rewirach (dzierżawionych przez Krakowskie Tow. Myśliwskie św. Huberta) przez jednego z tamtejszych gajowych, ukarało go surowo, już w ramach własnej kompetencji, przez wypowiedzenie mu służby. Oby ten wymowny, a także względami na słuszne interesy drugich, podyktowany, przykład pełnego zrozumienia i pieczy dla krajowego łowiectwa, znalazł w podobnych wypadkach chętne naśladownictwo również pośród innych służbodawców.

Z inicjatywy ruchliwego i energicznego członka naszego Tow., Towarzystwa Myśliwskiego Ziemi Wadowickiej w Wadowicach, interwenjowało Towarzystwo nasze pisemnie u szefa Państw. Urzędu Łowieckiego przy Min. R. i D. P., p. Juljana Ejsmonda, popierając usilnie projekt Towarzystwa Wadowickiego, w sprawie rewizji wydanych kart na broń*) oraz co do wydawania opinji o ubiegających się o te karty. Nie wątpimy, że obydwie tak ważne dla polskiego łowiectwa sprawy znajdą w szan. osobie dzisiejszego Zwierzchnika Państwowego łowiectwa pełne uwzględnienie, oraz możliwe rychłe i najskuteczniejsze ich poparcie u kompetentnych Ministerstw. Dalsza, przez wzmiankowane Towarzystwo poruszona sprawa, wpłynięcia przez Sąd krajowy na Sądy powiatowe o stosowanie przy kłusownictwie surowych kar, ściśle po myśli ustaw, przedłożoną zostanie w najbliższym czasie na posiedzeniu Wydziału naszego Towarzystwa.

Zalecamy naszym członkom, zwłaszcza pp. właścicielom i dzierżawcom polowań, ażeby po skończonym głównym sezonie myśliwskim, niezależnie od troski o ułatwienie przetrwania egzystencji zimowej naszej zwierzyny łownej, poświęcali także baczną uwagę na konieczne redukowanie liczebnego stanu drapieżców i szkodników łowiectwa. Mamy tu głównie na myśli kłusowników - wnykarzy, lisy, wrony (zwłaszcza szare) i sroki. Jakkolwiek w myśl najnowszej teorji łowieckiej, słowa „tępić i niszczyć do ostatka“ mają zniknąć ze słownika myśliwskiego, to jednak z pod tej reguły wyjąć należy największego drapieżcę-szkodnika, t. j. kłusownika - wnykarza, którego w tym charakterze i rozumie się na sposób ustawą dozwolony tępić i niszczyć należy do ostatka.

Na konieczny odstrzał lisów, wron, srok i t. p. rabusiów nie należy żałować nabojów i wynagrodzeń w formie strzałowego dla dozorców polowań, wydatki te bowiem powetują się najhojniej w uratowanym i podniesionym stanie zwierzyny łownej. O niektórych szczegółach w różnych sposobach skutecznego przerzedzania anormalnych ilości zwierząt drapieżnych pomówimy przy sposobności.

Kraków, dnia 11 stycznia 1926 roku.

Z Wydziału Tow. Łowieckiego Wojew. Krak. w Krakowie:

Prezes *Stiller* em. gen. dyw. Sekretarz *Morawetz*

*) Sprawa kart na broń należy do kompetencji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, któremu pismo Tow. Łowieckiego w Wadowicach, zostało według właściwości odstąpione. (Przyp. Red.).



„Łowiec“ Nr. 12.25. (lwowski) wyszedł i zawiera: Ś. p. Tadeusz Cieński. Kwestjonarjusz — W sprawie rozmieszczenia zwierzyny w Polsce. Seweryn Krogulski — Pół Wieku. Na ołtarzu św. Huberta. Jedno z przykazań etyki myśliwskiej. Jerzy Potocki — O tokach głuszców na Polesiu. Mieczysław Kruszewski — Na tokach w Ordynacji Dawidgródzkiej. Janusz Domaniewski — Fałszywy alarm. Przed śniegiem. Władysław Gürtler — Polowanie z sokołem. Korespondencje. Polowanie w Hałuszczyńcach. Rzadki gość. Notatki bibljograficzne. Sprawy Towarzystwa. Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału. Towarzystwo Opieki nad zwierzętami. Ochrona ptactwa i zwierząt. Z Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich. „Czwartki myśliwskie“. Statystyka Łowiecka: w okresie polowań na rok 1925/26.

DZIKIE ZWIERZĘTA W FILMIE.

2

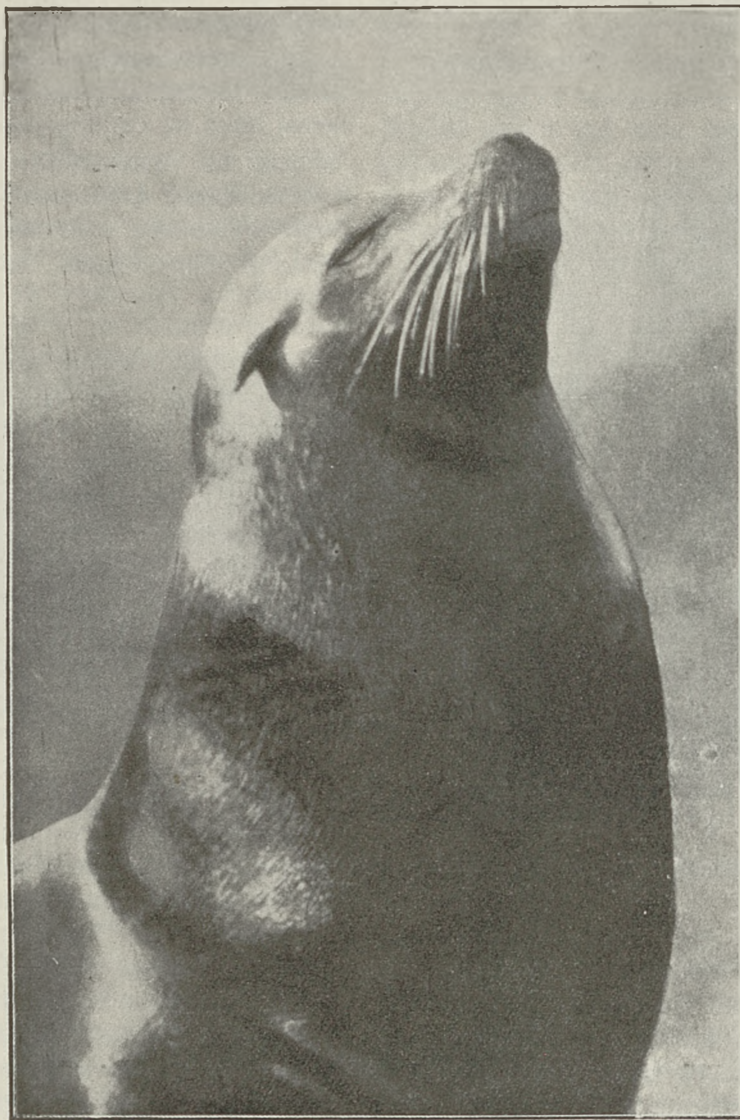
Jako przykład niebezpieczeństw, grożących artystom filmowym, warto przytoczyć tragedję z kondorem, jaka miała miejsce niedawno, podczas robienia zdjęć.

Według scenarjusza, orzeł porywa trzyletnie dziecko do swego gniazda. Ojciec dziecka idzie w góry odebrać sobie życie, widzi orła z dzieckiem w szponach, zasiadającego na gnieździe i po krwawej walce, zabiwszy orła, oswobadza dziecko.

Za granie roli ojca naznaczono olbrzymią gażę: za utratę ręki lub nogi przypadać miało dodatkowo 2.500 dolarów, zaś wrazie śmierci aktora, spadkobiercy mieli otrzymać 5.000 dolarów.

Zamiast orła, użyto do filmu kondora z Południowej Ameryki. Pod ochroną rękawic bokserskich, hełmów obronnych oraz przy pomocy lasso, udało się założyć łańcuch na prawą nogę olbrzymiego ptaka, który miał siłę dużego konia. Dwa tygodnie pracowano z dzikim ptakiem po 8 — 10 godzin dziennie. Trudno było zauważyć jednak jakikolwiek postęp. W końcu przyuczył się pod wpływem głodu wyskakiwać z klatki na kawał mięsa (przywiązany do lalki).

Zrobiono wielkie zdjęcie ptaka na tle skał. Zjawił się aktor z dzieckiem na ręku. Kondor zaczął bić skrzydłami. Położono dziecko na ziemi. Olbrzy-



Lew morski.

mi ptak rzucił się na nie z rozpostartemi skrzydłami. Ledwie zdołano przymocować linę na kablu i odciągnąć drapieżnika od dziecka.

Zamiast dziecka, położono lalkę. Puszczono linę i kondor rozpostarłszy powtórnie skrzydła, rzucił się drapieżnie na lalkę, wbijając w nią szpony. Reżyser wypalił na postrach. Kondor z łupem wzbił się w górę powolnemi uderzeniami skrzydeł. Lalka w tej opresji zgubiła perukę, czego jednak na szczęście nie było widać na filmie.

Następnie puszczono swobodnie orła skalnego z przywiązaną do szponów lalką. Orzeł uleciał wysoko, ku podniebnym szczytom. Aparat długo mógł filmować jego królewski lot.



KONDOR.

Najtrudniejszą sceną była walka w gnieździe pomiędzy człowiekiem i kondorem. W walce tej miał wziąć udział Antonio Guardero, wrazie zaś, gdyby nie był zdolny do dalszej walki, miał go zastąpić Happy Gus. Naprzeciw na występie skalnym umieszczono aparat do robienia zdjęć.

Kondor był skrępowany i zakapturzony. Olbrzym ptak mocno splecioną z drutu liną przymocowany został do ściany skalnej. Rozcięto mu więzy. Kaptur zerwać miał sam przeciwnik w czasie walki. Kondor bił gniewnie skrzydłami. „Przez cały czas przygotowań trapiło mię jakieś złe przeczucie — pisze o tem w swoich pamiętnikach reżyser Delmont. — Słyszałem głos wewnętrzny: tu stanie się nieszczęście! Próbowałem siły drucianej liny, skórzanej garderoby walczącego, mocy kabla.

Plan walki był następujący: człowiek skrada się z góry do gniazda. Dziecko (lalka) leży twarzą do ziemi. Poczyna się walka z kondorem: w ostateczności, w celu obrony, człowiek ma ostry, jak brzytwa, nóż.

Antonio zbliżył się do kondora, zdarł mu kaptur, odskoczył wstecz, by uniknąć cięcia ostrego dzioba. Kondor rzucił się na Antonia i wbił szpony w jego skórzane spodnie. Zawrzała walka na śmierć i życie. Antonio trzymał oburącz szyję kondora, nie mogąc zrobić użytku z noża .W pewnej chwili nadepnął ciężkim butem na nogę drapieżnika... Kondor rozpaczliwem uderzeniem skrzydeł strącił lalkę w przepaść...

Pokrwawionego Antonia wciągnięto na górę. Kondor daremnie pragnął go dogonić. Spuszczono nową lalkę na cienkim kablu. Rozwścieczony ptak wbił w nią swe szpony. Tymczasem zwindowany z góry Happy Gus rozpoczął walkę na nowo. Na szczęście kondor trzymał lalkę w szponach i walczył jedynie dziobem. Nagle pękł kabel przy nodze drapieżnika. Zauważył to Gus i pchnął nożem kondora, spychając go w przepaść. Kondor zachwiał się, nie chciał jednak wypuścić ze szponów lalki. Gus z wielką przytomnością umysłu, zdołał mu w ostatniej chwili wyrwać lalkę. Silnie uderzając skrzydłami, sfruwać począł kondor w przepaść. Gus z lalką wdrapywał się po skałach — wracając do nas. Fermer chwycił broń i wypalił w stronę Kondora. Zachwiał się olbrzymi ptak i — zawrócił. Nim zdołaliśmy się zorjentować w sytuacji, runął na pełzającego po skałach Gusa, wbił mu swe szpony w ramiona. Fermer strzelił po raz drugi, lecz już było zapóźno. Silny ptak oderwał Gusa od skalnej ściany i rzucił go w bezdenną przepaść. Fermer strzelił jeszcze raz — tym razem kondor padł w otchłań za biednym Gusem“...

Niebezpieczeństwa zawodu filmowego nie zawsze kończą się jednak tak tragicznie. Stwierdza to opis filmowania walki z morskiemi lwami.

Scenarjusz: Brzeg morski, pełen lwów, krów i słoni morskich. Madge (bohaterka filmu) ucieka przed bandytami ku wygrzewającym się na słońcu potworom. Wielkie zdjęcie: twarz przerażonej Madge i krwi chciwe twarze bandytów. Potwory morskie porywają bohaterkę do morza. Narzeczony Madge, bohater filmu, Patrick, stacza walkę z bandytami, poczem rzuca się w morze i po podwodnej walce z potworami morskiemi, oswobadza narzeczoną. Na brzegu stoją rodzice i błogosławią mokrą parę.

Trudności wykonania tego filmu były wielkie. Bohaterka musiała być świetną pływaczką. Podwodna walka odbywała się w szklanym basenie. Jako miejsce zdjęć nadbrzeżnych obrano Wyspę Fok, na Oceanie Spokojnym, koło Okosty.

Wykonanie tego filmu było następujące: najpierw dokonano zdjęć na Wyspie Fok. Tysiące potworów leżało tam na piaszczystym brzegu. Chmary pingwinów. Setki tysięcy mew. Ucieczka bohaterki śród zwierząt udała się świetnie. W chwili, gdy Madge dobiegała do brzegu, padło kilka strzałów, bohaterka skoczyła do wody wśród spłoszonych potworów. Nastąpiła scena walki bohatera z bandytami. Grali ich górnicy z Okosty, którzy ciągle zapominali, że to nie na serjo. Scena ratunku udała się świetnie. Patrick niósł zemdloną bohaterkę w stronę aparatu. Potwory szły za nim tłumnie. Dążąc do miejsca, gdzie miano dokonać wielkiego zdjęcia, Patrick pośliznął się i upadł w tył na krowę morską, która go ukąsiła tak boleśnie, iż przez dwa tygodnie siadać mógł tylko na lewym kancie krzesła.

Walka podwodna została zdjęta w basenie szklanym w New Yorku. Z menażerji Bostocka wynajęto w tym celu dwie foki i lwa morskiego. Operator po długich wysiłkach usunął refleksy lamp z szyb i wody. Na rusztowaniu nad wodą ustawiono zapasowy aparat. Przy nim umieścił się fotograf prywatny. Stąpnął on niezręcznie i runął w wodę z aparatem. Psy morskie rzuciły się na intruza. Lew morski odgryzł mu podeszwę od buta. Wyciągnięto go jednak bez dalszych uszkodzeń.

Bohaterka odważnie skoczyła do wody. Foki i lew morski przypłynęły do niej, lecz jej nic złego nie zrobiły. Pływała w towarzystwie zwierząt w zupełnem bezpieczeństwie. Uspokojony tem partner, śmiało skoczył na ratunek. Lecz skoro tylko zbliżał się do bohaterki, za każdym razem foki rzucały się na niego zajadle. Wyglądało to w myśl filmu — jakby zwierzęta morskie przeszkadzały mu w oswobodzeniu dziewczyny. W końcu rzucił się między foki i z bohaterką wypłynął na powierzchnię. Wydał jednak ryk bólu. Wyciągnięto nieszczęsnego bohatera z wody, która stała się czerwoną. Jeden z psów morskich, zapewne gwoli symetrji, nadgryzł mu drugą połowę siedzenia.

(Dok. nast.). *Julian Ejsmond.*



Przegląd naszych ptaków drapieżnych.

Znaczenie ptaków drapieżnych dla gosp. rolnego i łowieckiego.

3

K a n i e *(Milvinae)* są ptakami pożytecznemi, ponieważ zjadają padlinę i rozmaite odpadki, które gnijąc, zanieczyszczają powietrze. Dotyczy to specjalnie k a n i c z a r n e j. K a n i a r d z a w a czyni niekiedy szkody w drobiu i ptakach łownych, szkody te jednak są minimalne. Oba gatunki kań zasługują na bezwzględną ochronę.

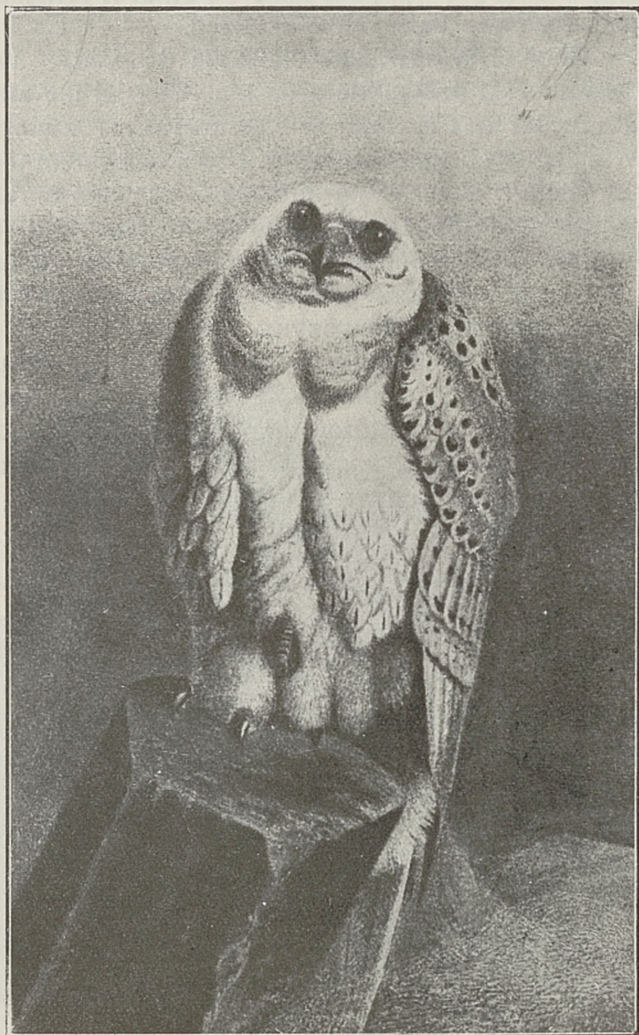
B ł o t n i a k i *(Circinae)* wyrządzają pewne szkody przez zjadanie jaj ptaków łownych, oraz przez chwytanie drobnych ptaszków. Latem jednak i jesienią żywią się głównie myszami, dzięki czemu przynoszą bardzo duży pożytek rolnictwu. Przewaga pożytku, przynoszonego przez nie nad wyrządzanemi szkodami jest bardzo duża. Z tego względu zasługują na bezwzględną obronę.

J a s t r z ę b i e *(Asturinae)*. Oba gatunki jastrzębi, zarówno g o ł ę b i a r z, jak i k r o g u l e c, są szkodnikami. Żywią się one ptakami, bądź też (g o ł ę b i a r z) zającami. Na ochronę nie zasługują, tembardziej, że są naogół pospolite i do wytępienia trudne.

M y s z o ł o w y *(Buteoninae)*. Główną podstawę pożywienia m y s z o ł o w ó w stanowią myszy. Ptaki te oddają rolnictwu ogromne usługi, winny też być jaknajstaranniej ochraniane. Drobne szkody, wyrządzane przez myszołowy w łowiectwie, są zupełnie niewspółmierne do przynoszonego przez nie pożytku.

O r ł y *(Aquilinae)*. Mniejsze gatunki przynoszą, podobnie jak myszołowy, dużo pożytku przez

zjadanie drobnych, szkodliwych ssaków, dlatego też szkody, czynione w łowiectwie, powinny im być wybaczone. Bezwzględnym szkodnikiem są: orzeł przedni i orzeł królewski; gatunki te



Sokół Białozór.

jednak ze względu na ginięcie, winny być ochraniane.

Sokoły *(Falconinae)*. Między sokołami mamy takie gatunki, które, ze względu na pożytek dla rolnictwa, zajmują wśród naszego świata ptasiego stanowisko zupełnie wyjątkowe. Tutaj na pierwszem miejscu należy postawić pustułkę, która w olbrzymich ilościach tępi owady i myszy; toż samo dotyczy pustułeczki i kobczyka, żywiącego się głównie owadami. Kobuz zjada równie bardzo dużo owadów, szczególnie chrabąszczy majowych; szkodliwym jest wskutek chwytania ptaków wróblowatych i drobnych ptaków łownych jak przepiórki i bekasy. W każdym razie dla łowiectwa nie jest zbyt szkodliwy. Szkodnikami bezwzględnymi są natomiast: drzemlik, sokół wędrowny, raróg i białozór. Białozór, jako ptak wypadkowo do nas zalatujący, nie może naturalnie wyrządzać jakichś większych szkód. Dość licznie niekiedy pokazuje się u nas jesienią drzemlik. Trzy pozostałe z pięciu wymienionych gatunków są rzadkie.

Jak z powyższego wynika, możemy więc nasze drapieżniki podzielić na trzy kategorje:

do pierwszej kategorji zaliczymy ptaki *bezwzględnie pożyteczne;*

do drugiej kategorji zaliczymy ptaki *bezwzględnie szkodliwe;*

do trzeciej kategorji zaliczymy ptaki, *przynoszące w równej mierze szkodę i pożytek.*

Do gatunków bezwzględnie pożytecznych zaliczymy: 1) sępa płowego, 2) sępa kasztanowatego, 3) ścierwnika białego, 4) krótko-szpona, 5) pszczołojada, 6) kanię czarną, 7) kanię rdzawą, 8) błotniaka zbożowego, 9) błotniaka bladego, 10) błotniaka po-



Sokół wędrowny (falco peregrinus, salidus, lanulatus) samiec.

pielatego, 11) myszołowa zwyczajnego, 12) myszołowa wschodniego, 13) myszołowa kurhannika, 14) kosmacza północnego, 15) kosmacza syberyjskiego, 17) pustułeczkę, 18) pustułkę.

Do gatunków, przynoszących w równej mierze szkodę, jak i pożytek: 1) orłosępa brodatego, 2) błotniaka stawowego, 3) orła karlika, 4) orła dzwonnika, 5) orła orlika, 6) kobuza.

Do gatunków bezwzględnie szkodliwych: 1) rybołowa, 2) łomignata bielika, 3) jastrzębia gołębiarza, 4) krogulca, 5) orła przedniego, 6) orła królewskiego, 7) białozora, 8) raroga, 9) sokoła szlachcica, 10) sokoła wędrownego, 11) drzemlika.

Jak widać z powyższego zestawienia, na 35 naszych przedstawicieli rzędu ptaków drapieżnych, 18 należy do bezwzględnie pożytecznych, których w żadnym razie strzelać i tępić się nie powinno.

Powstaje teraz pytanie, jak powinien sobie poczynać szanujący się myśliwy z pozostalemi gatunkami. Co do gatunków, które należy uważać za wątpliwe, to jest takie, które przynoszą w równej mierze szkodę, jak i pożytek, to zasadniczo powinno się je ochraniać. Z ptaków tych trzy, to jest orzeł karlik, orzeł dzwonnik i orzeł orlik — należą do ptaków rzadkich, znikających z naszej fauny; orłosęp brodaty u nas się nie gnieździ i tylko jako ptak zalotny pokazuje się w Karpatach, niemniej jednak w Europie należy do ptaków ginących. Otóż każdy szanujący się myśliwy powinien pamiętać, że *do obowiązków łowiectwa należy ochrona przyrody,* a co za tem idzie, staranie się o utrzymanie takowej, w najbardziej niezmienionych warunkach, dążenie do utrzymania przy życiu tych wszystkich gatunków roślin i zwierząt, które kraj nasz zamieszkują. Strzelanie więc gatunków, które giną, jest czynem nieetycznym, jest nadużywaniem tego zaufania, którego udziela myśliwemu społeczeństwo, dając mu broń do ręki. Wszystkie takie gatunki zwierząt, którym grozi zagłada, winny być ochraniane przez myśliwych, a nie tępione, jak to przeważnie ma niestety miejsce. Bezwątpienia jeśli ktoś w swych rewirach łowieckich posiada jakiś z omawianych gatunków, występujący w dostatecznej ilości, to może wtenczas jeden i drugi okaz strzelić. Nie będzie to czynem niemyśliwskim, tak, jak nie jest czynem niemyśliwskim zabicie niedźwiedzia lub łosia w takich samych warunkach. Pamiętać jednak trzeba, że od prawidłowego odstrzału do tępienia droga jest bardzo daleka! Co się tyczy kobuza i błotniaka stawowego, to narazie są one reprezentowane u nas dość licznie; zastrzelenie jednego lub drugiego osobnika, należącego do tych gatunków, nie grozi im zagładą, groźnym jednak może się stać dla nich strzelanie bez umiaru.

Przechodzimy wreszcie do ptaków bezwzględnie szkodliwych, to jest takich, które przynoszą szkodę łowiectwu. O ile chodzi o gatunki rzadkie, wymierające, jak to: łomignata bielika, orła przedniego i orła królewskiego, to naturalnie winny one być ochraniane. Orzeł królewski zresztą jest u nas jedynie ptakiem zalotnym; toż samo białozór. Rybołów zasadniczo powinien być ochraniany, trudno jednak jest wymagać od właściciela stawów rybnych, by ochraniał drapieżnika, który raz zanęciwszy się, robi mu systematycznie szkody w karpiach. Sokół szlachcic i raróg są w gospodarstwie łowieckim szkodnikami; mamy prawo je tępić, pamiętajmy jednak, że są to ptaki rzadkie, które łatwo mogą być zupełnie wytępione. Narazie nie grozi to



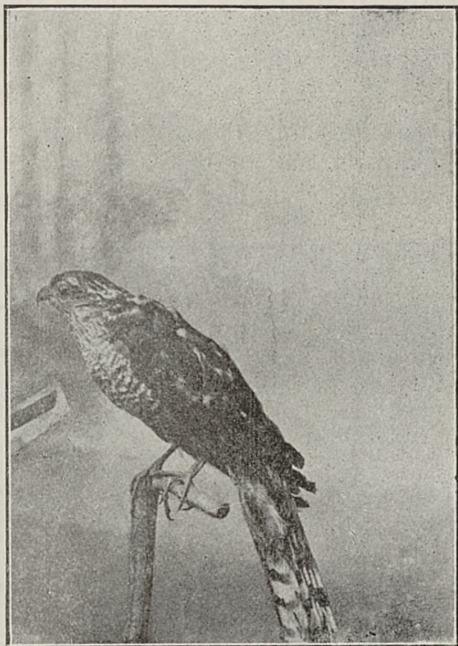
Jastrząb-gołębiarz, samica.

zupełnie gołębiarzowi i krogulcowi, na nich też może sobie myśliwy używać dowoli.

Przy okazji należy tu wspomnieć o sowach. Otóż za wyjątkiem puhacza, wszystkie nasze sowy są ptakami pożytecznemi, tępią bowiem w ogromnych ilościach myszy i owady. Zasługują one na bezwzględną ochronę; ze względu na swą rzadkość, zasługuje na ochronę i puhacz.

Na początku niniejszego rozdziału wspomniałem, że bezwzględne tępienie drapieżników przynosi

łowiectwu raczej szkodę niż pożytek*). Wygląda to na paradoks, bynajmniej jednak paradoksem nie jest. Lis lub jastrząb w polu i kniei odgrywają tę samą rolę, co hodowca w stajni lub oborze. Tak jak w pośród zwierząt domowych my sami usuwamy osobniki słabsze, gorsze, nie pozwalając im się rozmnażać, tak samo drapieżniki zabijając wśród zwierząt łownych, przedewszystkiem osobniki słabsze przeprowadzają wśród nich dobór naturalny. Tam, gdzie w polu i kniei występuje pewna ilość ptaków i zwierząt drapieżnych, tam utrzymują się i pozostają do rozpłodu tylko zwierzęta silne i zupełnie zdrowe. A wszak wiadomą jest rzeczą, że po rodzicach zdrowych otrzymujemy zdrowe potomstwo. Drapieżniki jakkolwiek wpływają ujemnie na ilość zwierzostanu, to jednak oddają bardzo duże usługi, podnosząc jego jakość. Jest tylko sprawą dobrego myśliwego — hodowcy, utrzymać w swych rewirach taką ilość drapieżców, jaka tam jest potrzebną. Dobry myśliwy — hodowca nie powinien wypowiadać drapieżnikom bezwzględnej walki, winien tylko zwracać uwagę na to, by się zbytnio nie rozmnożyły.



Krogulec — samiec (młody).

Kończąc tych kilka uwag o znaczeniu ptaków drapieżnych dla człowieka, apeluję do wszystkich myśliwych, *aby bezwzględnie zabronili swym strzelcom strzelać ptaki drapieżne.* Takie strzelanie przynosi człowiekowi nieobliczalne szkody: — ofiarami niepowołanych myśliwych stają się przedewszystkiem m y s z o ł o w y, b ł o t n i a k i i p u s t u ł k i, a więc ptaki najbardziej pożyteczne. Poza tem przy tej okazji giną rzadkie gatunki, których zachowanie dla naszej fauny powinno być naszym najświętszym obowiązkiem.

Ptaki drapieżne może strzelać tylko taki myśliwy, który je dobrze zna i odróżnia i u którego miłość prawdy jest silniejsza od pierwotnej żądzy mordowania.

Janusz Domaniewski.

(D. c n.).

*) Myśl tę pierwszy u nas rzucił i rozwinął J. Ejsmond w artykule „Nowy duch łowiectwa polskiego" („Przegl. Myśl. i Łow. Pol." Nr. 21 (45) z 1924 roku). Odtąd zdobywa ona sobie coraz szersze prawo obywatelstwa. (Przyp. Red.).

Rozmyślania myśliwskie na luty.

Niema mowy, dzień prześliczny!
To już nasza zima, Panie:
Śnieg, jak całun leży mleczny,
A jak żłobem idą sanie...

W. Pol.

Człowiek winien Stwórcy bezgraniczną wdzięczność, że świat ten tak cudownie stworzył. Myśliwy, który w przebrzmiałych dopiero polowaniach poił i nasycał duszę swoją pięknem przyrody i emocyjnemi wrażeniami łowieckiemi, winien spłacać swój dług wdzięczności, karmiąc paszą zwierzynę.

„Człek wnet ciężkie drzwi uchyli,
Sypnie ziarnem i umili
Bezmiar ptaszych mąk".

Winien człowiek dokładać starań, aby ta zwierzyna, której danem jest dziś cieszyć się jakiem takiem życiem, mogła przetrwać szczęśliwie do czasu, kiedy pod ciepłem tchnieniem wiosny będzie mogła wieść żywot bez troski. Podawanie paszy chroni przytem las od znacznych nieraz szkód, jakie wyrządzają łosie, a głównie jelenie i sarny, żywiąc się z braku innego żeru — korą młodych drzew. A gdy spadną wielkie śniegi, pamiętać o odkopywaniu zasiewów i wrzosów, gdyż bez pomocy ludzkiej zwierzyna sama nie dotrze głęboko pod śnieg. Odgrzebywać, porządkować i uzupełniać lizawki. Odżywianie zwierzyny ma wielki wpływ na jej rozwój, a u jeleni i sarn na tworzenie się okazałych wieńców i parostków.

Luty, to czas zalotów i godów weselnych w świecie zwierzęcym. Wiecznie towarzyszące nam wrony, sroki i kruki budują nowe lub naprawiają zeszłoroczne gniazda. Zające i króliki parkocą się, wydra zakłada ogniska domowe, liszka grzeje się, żbik i ryś, ten „rozbójnik na gładkiej drodze" -- rozpoczynają marcowanie, czas cieczki u wilków, tumaków, kamionek i tchórzów.

Ściele gniazdo krzywodziób (Loxia curvirostra) i wodnokos (Cinclus aquaticus). Nadchodzi czas zimowego ciągu dzikich gęsi, kaczek i żórawi. Gęsi składają jaja. Borsuk rodzi 3 — 5 ślepych młodziaków.



Białe i bure.



Czarny zwierz.



Myśliwskie śniadanie.

Obowiązkiem myśliwego jest tępić kulą, śrutem, czy żelazem wrogów zwierzyny użytecznej. Czatować na nich przy padlinie; wykurzać z nor lisy dymem, lub wypędzać jamnikami; na wydrę zasiadać przy świetle księżyca, wypatrzywszy przedtem jej miejsce wynurzania się; polować z prosiakiem na wilki, które w tym roku pojawiły się w znacznej ilości. W sprawie tępienia wilków pisze Kazimierz Wodzicki: „Jedyne skuteczne środki do wytępienia wilków są w wybieraniu młodych wilcząt i truciu takowych ścierwem ze strychniną, lub zaprawionymi zrazikami tą trucizną w czasie zimowym". A warto zawziąć się na tego szkodnika, bo jak dalej mówi Wodzicki: „....Szkody, wyrządzone przez wilki w zwierzynie, są nie do obliczenia, gdyż nietylko znaczną część pożerają, lecz rozpłoszą na cztery wiatry, szczególnie sarny i jelenie, taki je paniczny strach ogarnia, że biegną bez przytomności, dopóki sił stanie".

W tym miesiącu kończy się t. zw. zimowe polowanie i jeśli się strzela, to nie dla samego polowania, ale głównie z nakazu gospodarki łowieckiej, bez psów i naganki. Tępione drapieżniki mają jeszcze sierść dość silną, więc futerko ma wartość. Jakkolwiek ustawa łowiecka nie mówi o ochronie samur, to jednak prawidłowy myśliwy będzie je oszczędzał, gdyż są one w tym czasie prośne i noszą płód daleko już rozwinięty.

Stary jeleń, a młody łoś, zrzuca w tym okre-

sie rogi, sarnikom natomiast odrastać poczynają parostki.

W przeczuciu, że niedługo już lutej zimy, zaczynają zjawiać się reemigranci z za morza: skowronek rolnik (Alauda arvensis), skowronek leśny, firlej (Alauda arborea), gęś gęgawa, siwa (Anser cinereus), a także według spostrzeżeń Pietruskiego, wraca w tym miesiącu pojedyńczo kulik samotnik (Totanus ochropus).

Przedmiotem zainteresowania każdego myśliwego winien być ponadto rozwój prasy fachowej i popieranie jej drogą prenumeraty i nadsyłania korespondencji i rozwój jedynego dziś w Polsce zwierzyńca w Poznaniu. Jednym z dowodów wdzięcznej pamięci wobec własnego Patrona będą też datki na ołtarz Jego, który ma w obecnym roku stanąć w kościele św. Elżbiety we Lwowie, ufundowany drogą dobrowolnych składek wiernych towarzyszy z pod sztandaru św. Huberta.

Józef Wł. Kobylański.

Przemyśl, w styczniu 1926 r.

Nie odtrącajmy złych myśliwych.

Uczmy ich i uszlachetniajmy.

Czytam różne artykuły w „Przeglądzie Myśliwskim, omawiające: wydawanie biletów na broń, sposób polowania, kłusownictwo, myśliwych „dla mięsa“ i t. p., chciałbym więc i ja o tem parę słów napisać, może które będzie trafne.

Niektórzy proponują wydawanie pozwoleń za aprobatą delegatów, czy członków kółek myśliwskich; w naszym powiecie p. starosta jest przewodniczącym kółka myśliwskiego, więc jeżeli prezes i starosta w jednej osobie nie zawsze może wiedzieć dokładnie, w jakie ręce daje pozwolenie, to skądże członkowie mogą wiedzieć, kto zasługuje na broń. Zresztą, może być taki wypadek: kółko myśliwskie w Z. chciałoby posiadać dobry teren, który dzierżawi dany osobnik i odmówiłoby aprobaty. Nie we wszystkich kółkach są idealni myśliwi i ludzie. Do kółek nie wszyscy mogą należeć, kółko może być w mieście, o kilkanaście kilometrów, no i może uważają, że w kółku gospodarka myśliwska gorsza i zwierzyny mają więcej, niż na terenach kółka. Więc dla tych i innych powodów nie możemy przyjąć zasady, że tylko członkom kółek ma być wydawane pozwolenie. Pozwolenia winien wydawać człowiek bezstronny, nie zainteresowany, jednak obeznany z myślistwem, z punktu widzenia urzędnika, bo przecież wiemy wszyscy, że obecnie ma prawo każdy obywatel nienaganny dostać broń i tego prawa demokratycznego zwalczać nie możemy. A dopiero po nieodpowiedniem zachowaniu się myśliwego, co może starosta wiedzieć przez policję (uświadomioną), motywując odpowiednio, broń odebrać. W moim powiecie Skierniewickim, p. starosta odmówił pozwoleń dwum myśliwym dla pewnych powodów, to dostali w Warszawie; w jaki sposób— nie wiem. Tego nie powinno być. Zresztą, czyż to święci garnki lepią? Gotowi myśliwi nie rodzą się, trzeba ich urabiać, choćby przez wydawanie tanich broszurek z etyką myśliwską, czy coś w tym rodzaju, a my, uświadomieni myśliwi, będziemy to kupować i rozdawać nieuświadomionym, a mającym piękne chęci. A bodaj, czy nie najlepiej byłoby, żeby początkujący myśliwy zdawał egzamin, względnie teoretyczny z prawidłowego myślistwa, przed starostą, względnie komisją, składającą się z dwuch odpowiednich i upoważnionych myśliwych, a dopiero po wykazaniu znajomości zasad, praw i etyki myśliwskiej, mógłby być pasowany na myśliwego i dostać broń. Tę kwestję poruszył już sz. pan S. Ostrowski w „Przeglądzie Myśliwskim“ z lipca 1925 roku, ale bez echa. Niech się uczy gdzie chce, czy z podręczników i pism, czy też „terminując“ u dobrego myśliwego. Jeżeli dla otwarcia zakładu fryzjerskiego, dentystycznego, czy innego, potrzebny jest patent, to dlaczegóżby dla uprawiania myślistwa i otrzymania broni palnej, nie miał obowiązywać jakiś „patent“ Możnaby wyjątek zrobić dla tych, za którymi ręczy znany i dobry myśliwy. Nawet myśliwi, którzy bardzo niedawno dostali broń, a którzy budzą wątpliwości, winni podlegać egzaminowi, a wtedy nie mielibyśmy tylu partaczy i legalnych kłusowników, no i zwierzostan także by się poprawił.

Trudno potępiać polowanie „na pomyka“, jako takie, ponieważ niektórzy myśliwi mają możność polować z naganką, w kociołku, z obławą, na tokach i wielu innych, ale są myśliwi, nawet bardzo dobrzy, którzy nie mają możności tych różnych sposobów polowań, a pozostaje im prawie tylko „na pomyka“ i ci polują bardzo oględnie, umiejętnie oszczędzają samice w różne znane im sposoby, zostawiają zawsze część terenu nietknięta i zwierzyny mają dosyć. Takich ja znam i inni pewnie znają. Niema sposobów polowania specjalnie złych, lub dobrych, wszystkie muszą istnieć, ale wykonywane umiejęt-

nie. Każde polowanie, wiadomo, zwierzyny nie przysparza, ale każdy sposób trzeba udoskonalać, w czem winni pouczać więcej doświadczeni myśliwi, a w końcu kasować, przez pp. starostów karty łowieckie, zupełnie złych i niepoprawnych myśliwych.

Przesunięcie terminu ochrony dla zajęcy do 1-go listopada zupełnie chybia celu, bo przecież trudno zaglądać myśliwemu do rewiru tak długi czas, nie ustrzeliwszy od czasu do czasu kota, a zaglądać musi często, bo inaczej, to po 1-ym listopada już nie będzie miał po co zachodzić: wystrzelają wszystko i wyłapią kłusownicy. Na 15-go października, przyszedłem na kuropatwy, to ilu spotkałem rolników orzących, każdy mi się chwalił — zabiłem zająca biczyskiem w łubinie, zabiłem dwa zające kijem na rżysku, orząc itd. itd. To są fakty autentyczne. Na to też nic poradzić nie mogę, pomimo perswadowań i wymyślań, że zające są moje. Ogromne zdziwienie. Jakto, przecież ja kijem zabiłem, to wolno, za to kary niema. A ile to sztuk? Na to trzeba coś zaradzić, żeby była kara sądowa, to zwierzyny będzie dosyć, bo wnyki i sidła, to się odejmie, zanim się co złapie, a jak odjąć dwa trzy razy, to już więcej nie stawiają.

Sądzę, że zbyt ogólnie dostaje się epitet „myśliwy dla mięsa" tym, którzy starają się skwapliwie na polowaniu nietylko strzelać, ale i coś zabić. Aż proponują strzał tylko kulowy nie „dla mięsa". Niebardzo rozumiem. Więc pocóż dobrzy myśliwi używają przeważnie dwunastek, a nawet browningi pięciostrzałowe? No, dlatego, żeby zabić. A czyż nie znamy takich myśliwych, co chcieliby dużo zabić, skoro już są na polowaniu i skoro strzelają, ale o to „mięso", to potem wcale nie dbają, czy to także myśliwi „dla mięsa"? Taka skwapliwość zabicia może być niepożądana, naganna, ale w każdym razie na miano „dla mięsa", nie zasługuje. Zresztą, przy dzisiejszych dubeltówkach gęsto i daleko bijących, strzał nie jest zbyt łatwy. Przypuszczam, że to jest



Krośniewice. Łapka skrzynkowa do łapania drapieżnej zwierzyny.

puszczam, że zgodzą się wszyscy prawdziwi myśliwi.

Przed wojną mieliśmy kłusowników znacznie więcej, a zwierzyny było także więcej. Ci kłusownicy ze strzelbami, to jeszcze nie są tak straszni, bo można ich ostatecznie przepłoszyć, o ile myśliwy dba o swój rewir, ale jest inna plaga kłusownicza, z której nie wiem, czy wszyscy zdają sobie sprawę. Przykład: Dzierżawię tysiącomorgowy teren od wsi o 50-ciu osadach. Otóż na wiosnę, mniej więcej w co trzecim domu hodują po jednym, po dwa i więcej zajączków, naturalnie złapanych w polu. Ile to uczyni sztuk? Na to ja nic poradzić nie mogę, pomimo różnych zabiegów, kary niema. We wrześniu wy-

zupełnie usprawiedliwiona ambicja myśliwska, ażeby nie strzelić napróżno. Jeżeli chcemy się tylko pobawić w polowanie, to polujmy wszyscy z floberkiem 6-cio milimetrowym, to będzie najmniej szkodliwe, ale i... trochę śmieszne. Dobrze jest chodzić z floberkiem dla przyjemności obcowania z przyrodą, albo kiedy pilnujemy rewiru przed kłusownikami, szukając wnyków i sideł. Nie każdy może być tak dobrym strzelcem, ażeby bił zające kulą, a może to być myśliwy o bardzo wysokim poziomie, czy to także będzie myśliwy „dla combra“? Zresztą kulą także można zranić zająca, a co gorsza, trafić człowieka, strzelając przez górkę. Kto chce i może, niechaj strzela do zajęcy kulą, będzie to chwalebne, ale strzelającemu śrutem dawać zaraz miano „dla mięsa“, to trochę niesprawiedliwie.

Jeszcze jedna myśl: otóż, czy nie byłoby dobrze, gdyby pp. starostowie, po rozdaniu pozwoleń, lub też przed otwarciem sezonu, zgromadzili na jeden dzień do siebie, przez zawiadomienie urzędowe, wszystkich myśliwych powiatu i przy pomocy światłych myśliwych, urządzili coś w rodzaju odczytu, objaśnień, propagandy prawidłowego i etycznego myślistwa, wskazówek, lub poprostu nakazów, jak ma postępować prawdziwy myśliwy, a zagrozić wrazie niewypełnienia, odebraniem karty myśliwskiej. Śmiem twierdzić, że to przyczyniłoby się ogromnie do podniesienia poziomu myślistwa i zwierzostanu.

„Przegląd Myśliwski“ jest pismem dość drogiem, bardzo dużo myśliwych tego nie prenumeruje i nie czyta, czy nie byłoby zatem pożądanem wydawanie choćby tymczasem, kosztem zamożnych myśliwych, czy towarzystw łowieckich, którym bardzo leży na sercu postęp naszego łowiectwa, jakich tanich broszurek, czy gazet i rozsyłanie bodaj bezpłatnie narazie, dla zachęty, do tych rzesz myśliwskich, które nie mają możności przeczytać, czy usłyszeć jakąś dobrą radę, czy wskazówkę.

Nie jest celowem odsądzanie, maltretowanie i wyrzucanie poza nawias myślistwa tych gorszych myśliwych, ale trzeba pouczyć, podnieść i uszlachetnić przynajmniej tych, którzy się jeszcze nadają.

Adam Krakowiak.

Trzcianna, grudzień, 1925 r.

Wyprawa myśliwska do Abissynji.

10

5.I. Nie mamy wody! Pomimo, że cały wczorajszy dzień szliśmy żyzną równiną, pełną zieleni, nie spotkaliśmy ani rzeki, ani nawet większej kałuży. W małych wgłębieniach widniało tylko czasem pół wyschłe błoto, od którego odwracały się ze wstrętem nawet wielbłądy i muły. Jednakże musiały gdzieś być ukryte źródła; dowodził tego liczny i nader urozmaicony zwierzostan.

Ogromne stada pentarek i kuropatw porywały się śród traw. Dik-diki, lśniąc złotem i miedzią w słonecznym blasku, przebiegały nam drogę gromadnie. Szakal wysunął ostry pyszczek z pomiędzy gęstwy krzewów i cofnął się, nim zdołałem doń strzelić. Śród gałęzi drzew harcowały małpy, rozlicznych barw i kształtów. Jedne, uczepione giętkiemi ogonami u cieńszych konarów, zwisając głową w dół, słały ku nam piszczącą gwarą pozdrowienia, czy też wymysły; inne, rzucały w nas liśćmi, gałązkami, lub nadgryzionym owocem; inne jeszcze, tkwiły nieruchomo jak małe sfinksy, wybałuszając tylko oczy.

Strzeliłem do jednej, zainteresowany niezwykłą barwą jej futerka. Spadła jak kamień, dostawszy kulą w serce. Gdy Musu mi ją podał, mogłem się jej dowoli przyjrzeć.

Była wielkość dużego kota, obdarzona niezwykle długim ogonem. Grzbiet porastała szerść wyraźnie zielonej barwy, zlekka nakrapiana czernią. Spód ciała miał odcień białawy; białe były również faworyty zdobiące płaską, jasno brunatną twarz. Musu nazwał ją po arabsku nisnas.

Wody nie udało nam się znaleźć, i o zmierzchu, gdyśmy rozłożyli obóz, mieliśmy jej tylko tyle, ile pozostało z poprzedniego dnia w skórzanych worach. Była ciepła i mętna, ale że rozdano ją w nader ograniczonej ilości, więc każdy patrzał na swą część tego płynu, jak na bardzo cenną rzecz.

Dziś wstaliśmy o świcie i jednym pochodem szliśmy do wieczora, wciąż w poszukiwaniu wody. Gdy zwierzęta zbyt ustawały, dawano im krótki wypoczynek, nie zdejmując jednakże juków .

Popołudniu, jadąc z panem D. o paręset kroków przed karawaną i monotonnie kiwając się w siodłach, usłyszeliśmy naraz radosny szept Alego. Z wymawianych w podnieceniu arabskich wyrazów pojęliśmy niewiele; najwymowniejszym był gest rę-

ki, wyciągniętej w określonym kierunku, oraz wyraz oczu pełen dzikiego pożądania.

Wyjęliśmy lornetki. W prawo od nas, dość daleko, ponad falą zrudziałej zieleni, unosił się wspaniały łeb ozdobiony parą lśniących rogów. Po chwili łeb znikł, lecz wnet ukazał się ponownie na bardziej odkrytej przestrzeni.

„Kudu!“ — szepnęliśmy jednocześnie.

Był teraz oddalony o paręset kroków. W przejrzystem powietrzu widniał wyraźnie ostry zarys brunatnego grzbietu i opadające w dół po bokach białe pręgi. Krótka, porosła grzywą szyja, unosiła piękny łeb; grzywa była jasno szarej barwy, co dowodziło, że mamy przed sobą starego samca. Rogi lśniły czernią, wygięte w regularne karby. Biały półksiężyc pod oczyma srebrzył się w słońcu: zwierzę patrzało na nas.

Nie zsiadając z muła, pan D. skinął na swego strzelca; ten sprawnie podał nabitą już broń. Zamarłem w oczekiwaniu: pierwsza gruba zwierzyna! Lufa strzelby unosiła się wolno, aż znieruchomiała w powietrzu czarną smugą.

Strzał. Kudu skoczył na miejscu, i ruszył poprzez gęstwę krótkim galopem. Ciężki łeb zarzucił wstecz, aż mu rogi legły na grzbiecie. Śledziłem jego bieg: wyraźnie wybierał drogę, starannie omijając popielate kępy kolczastej mimozy. Biegł ociężale, choć nie ranny; a wkrótce już jął się ociągać i zwalniać. Przystanął, ruszył znowu i znieruchomiał wreszcie w cieniu wyniosłych palm.

Zdobycz wydawała się tak bliska i łatwa do osiągnięcia, że nie miałem sił z niej zrezygnować. Alemu powierzyłem muła, Musu wziąłem ze sobą, i zagłębiłem się w gąszcz. Poza mną karawana wlokła się dalej, gwarząc i szemrząc tysiącem coraz cichszych dźwięków.

Szliśmy wolno, by nie płoszyć zwierzyny. Zresztą, upał i brak wody osłabiły mnie trochę. Teraz dopiero czułem różnicę pomiędzy jazdą na grzbiecie muła, a mozolną wędrówką pieszo. Korzenie i trawy plątały się u nóg, ciernie chwytały za odzież. Pot zalewał oczy: co chwila ocierałem je dłonią.

Musu, jak dobry pies, wiódł mnie ku zwierzynie, teraz bowiem, gdy grzbiet muła nie unosił mnie ponad ziemię, straciłem antylopę z oczu. Czułem tylko kierunek. Sagari jednak szedł tak pewnie, jakgdyby pomiędzy nim a upragnionym celem rozsnuł się wyraźny szlak.

Stanął nagle; stanąłem również. Z wargami tuż niemal u mego ucha, twierdził zdławionym szeptem, że jeszcze parę kroków tylko... Dłonią wskazywał kierunek. Przygotowałem broń i ruszyłem jaknajwolniej i jaknajciszej.

Zakotłowało się naraz śród zarośli; trzask i szum zlały się z krzykiem Musu. Kudu darł się przez gąszcz i gnał, znacząc ucieczkę smugą falujących traw. Kopyta jego wybijały na stwardniałej ziemi ostry rytm. Tętent oddalał się i cichł w przestrzeni.

Bardzo niechętnie poniechałem dalszych łowów. Wiedziałem dobrze, że Kudu leniwy i ciężki z natury, nigdy daleko nie umknie. Wiedziałem, że unika kolczastych krzewów i zbyt zarośniętego terenu, co ujemnie wpływa na szybkość jego biegu. Jest zresztą odważny, i nieraz, nawet wówczas, gdy ma szanse dalszej ucieczki, stawia czoło myśliwemu. Jeszcze zatem parę godzin wytrwałości i cel mógłby być osiągnięty, ale niestety, nie mogłem sobie na dalsze podchodzenie pozwolić.

Karawana oddaliła się już znacznie i należało ją dopędzić przed zachodem słońca. Myśl, że może znaleziono już wodę, czyniła tę konieczność mniej przykrą.

Mój biały muł ruszył truchtem; sagari wyciągnąwszy sprężyste nogi, dotrzymywali mu kroku. Zmierzch nasycił się już czernią, gdy zdala błysły światła obozowe. U pierwszych ognisk spotkałem przewodnika; spytałem go o wodę. Rozłożył ręce beznadziejnym ruchem.

„Niema!“

Poza memi plecami Ali westchnął z rezygnacją; Musu burknął coś gniewnie.

Dowiedziałem się, iż wobec zupełnego wyczerpania zapasu wody, wysłano pięciu ludzi, oraz trzy najsilniejsze wielbłądy na poszukiwania. Była pewna nadzieja znalezienia jej, w łożysku rzecznem o kilka mil na północ.

W obozie panowała przygnębiająca cisza; nikt nic nie jadł, by nie podsycać pragnienia. Śród skrzynek z amunicją była coprawda jedna, zawierająca nie naboje, lecz kilkanaście butelek gazowej wody, o istnieniu której nikt z czarnych nie wiedział; chowaliśmy ją na ostateczną potrzebę. Ten i ów zachował jeszcze tymczasem na dnie manierki parę kropel cennego płynu i sączył je teraz powoli z namaszczeniem, chcąc jaknajdłużej zachować na wargach rzeźwiący smak.

Jestem ogromnie wytrzymały na upał i pragnienie, to też z wydzielonej mi rano porcji, zaoszczędziłem do wieczora około pół szklanki. Wypocząwszy trochę, wypiłem tę resztkę i gdyby nie myśl: co będzie jutro, czułbym się niemal zupełnie dobrze.

Była jeszcze głęboka noc, gdy zbudził mnie radosny gwar. Cały obóz szalał. Na tle wysoko płonących ognisk falistym ruchem kołysały się głowy trzech objuczonych worami wielbłądów, a wokoło nich wiedli dziki taniec abisyńczycy i somalisi.

„Woda! Woda!“

Rozchwytano ją natychmiast; starczyło dla wszystkich. O pięć mil na północ jest jej cała moc:

tak głosili czarni. I wnet, korzystając z nocnego chłodu, ruszyły wszystkie wielblądy, wziąwszy wszystkie wory, by poczynić odpowiedni zapas.

W obozie ruch trwał już do rana; gotowano żywność i ucztowano obficie.

6.II. Wyruszyliśmy dość późno, a około południa rozbiliśmy namioty w kotlinie, na dnie której, wokół małego źródła, zieleniała świeża trawa. Była to niby oaza, śród zszarzałej i zżółkłej przestrzeni.

A pod wieczór ujrzeliśmy pierwsze oryksy. Pasły się na otwartej zewsząd równinie, więc nie dały się podejść. Gdybym miał dobrego konia, spróbowałbym je poprostu zmęczyć. Oryks jest wytrwalszy w biegu niż Kudu, jednak rasowy wierzchowiec odnosi zazwyczaj zwycięstwo.

Muł, w tym wypadku wcale nie mógł mi się przydać; osobista moja cierpliwość i wytrzymałość, również nie. Oryksy trzymały się zawsze poza obrębem strzału. Obserwowałem je przez lornetkę: stadko składało się z pięciu sztuk. Były trzy samice i dwa samce, wszystko to rosłe i dość niezgrabne. Ponad dużemi łbami, proste, jak lance, a czarne, jak heban, unosiły się wspaniałe rogi; płowa szerść lśniła w słońcu.

Ali pocieszał mnie:

„Tam dalej, panie, będzie ich dużo! — palcem kolejno wskazywał wszystkich członków naszej karawany: ludzi, wielblądy, muły. — O, tyle, co nas tu, i jeszcze, jeszcze więcej"...

(D. c. n.). *Bronisław Gordziałkowski.*

NAJGRUBSZA ZWIERZYNA.

Popłynął szereg monotonnych dni, urozmaicony jedynie wieścią z placu łowów. Wiedziano, że ponad wodą stanęły dwa obozy; jeden pod wodzą Jima, drugi pod wodzą starego Okonosuka. Pomiędzy obozami a wioską krążyły częste sztafety. Z jednej strony posyłano drzewo na opał, żywność i futra, z drugiej, upolowane foki (wieloryba jeszcze nie złowiono) oraz stosy nowin.

Pewnego dnia wpadło do wsi dwoje sań. Kierowali zaprzęgami: Nookik, dziecko prawie, nieśmiały dzikus; oraz Kiasik, wielki przyjaciel pani Valiace, towarzysz niektórych jej wypraw. Dzielna niewiasta powzięła wnet zuchwały plan, i niezwlekając, przystąpiła do wykonania go.

Nookika przekupiła garścią karmelków i gumą do żucia; Kiasikowi przemówiła do rozumu. Poczem uzyskawszy brak sprzeciwu pierwszego i zgodę drugiego, jęła się gotować do drogi.

Włożyła zwykły strój eskimoski, złożony z wyprawionych skór i futer. Było to coś w rodzaju pidżamy, z dużym kapturem, osłaniającym głowę i twarz. Na nogach buty miękkie, a mocne. Na rękach podwójne rękawice. Chłopcy ładowali sanie i zmieniali psy. Ruszono około dziewiątej wieczorem. Na progach chat stojące eskimoski, z zabobonnym strachem spoglądały na białą kobietę.

Do celu było koło dwudziestu pięciu mil angielskich. Narazie droga nie przedstawiała się najgorzej. Szlak, utarty nieco, jako że w pobliżu wioski, łagodnie kołysał sanie po drobnych wybojach. Psy biegły rzeźko, pędzone czasem okrzykiem, rzadziej batem. Na jakimś zakręcie skotłowały się raptem i jęły szarpać uprząż. Poskromiono je z trudem. Jak się okazało później, przyczyną był świeży ślad niedźwiedzia. Chłopcy, weseli, jak wszyscy krajowcy, zaśmiewali się nad tem zdarzeniem.

Tam, gdzie stały lód przybrzeżny łączył się z lodem, naniesionym kiedyś przez fale i prądy, droga pogorszyła się znacznie. Trzeba było zejść z sani i brnąć obok, podtrzymując je, pchając i unosząc. Głębokie wyrwy przecinały szlak i należało je zasypywać lub objeżdżać, wlokły się coraz leniwiej. Postanowiono więc odpocząć i pokrzepić się.

Ciepła czekolada z termosu napełniła obu krajowców bezgranicznym podziwem. Pili ją, nie spuszczając z białej kobiety zachwyconych oczu. Postój trwał krótko. Nie sposób było zasnąć na dwudziestostopniowym mrozie. Przytem południowy wiatr zapowiadał odwilż. Lada dzień mogła ruszyć kra. Należało albo wracać, albo iść naprzód. Wybrano oczywiście to ostatnie.

Im dalej, tem szlak był cięższy. Przez głęboką wyrwę, zalaną wodą do półmetrowej wysokości, trzeba było brnąć naprzełaj; z obu stron bowiem obrzeżały ją lodowe wały, tak strome i ślizkie, jak szklana góra z bajki. Ludzie, rzuciwszy w wodę parę śnieżnych brył, przeskoczyli po nich szczęśliwie. Psy rozparły się w miejscu, wyjąc i warcząc. Naglone głosem i batem, runęły wreszcie naprzód, obalając bokiem sanie, i zmoczone, pokrwawione, wściekłe, wywlokły je po chwili na twardy grunt. Poczem, snać dla rozrywki, obie sfory, warcząc, rzuciły się na siebie. Zajadła walka skończyła się porażką obu stron. Zwycięstwo odniosły baty krajowców, tnące wprawnie i ostro.

Nazajutrz po wyruszeniu w drogę, około ósmej

wieczór, zamajaczył śród śnieżnej bieli, duży brunatny stożek. Był to namiot łowców. Po dwudziestu dwu godzinach ciężkiej podróży, psy goniły resztka sił; ludzie ustawali zupełnie. Sen krążył nad nimi, tumaniąc mózgi i raz poraz zlepiając powieki. Zdawało się, że śpią, idąc.

Zdumienia łowców na widok białej kobiety, nie da się opisać. Wszyscy, nie wyłączając Jima, milcząc, wytrzeszczyli oczy. Pani Vallace, niepewna, co będzie dalej, na wszelki wypadek, wyciągnęła ku nim spore pudełko tytoniu. To wprawiło krajowców w znakomity humor; i podczas, gdy chciwe palce zgarniały ulubiony przysmak, usta i oczy uśmiechały się już przyjaźnie. Jeden tylko Jim mruczał pod nosem, i rozkrochmalał się bardzo wolno.

Obóz leżał w dolinie, osłoniętej od wiatru, i o pół mili mniej więcej od wody. Krajowcy twierdzą, że wieloryb ma znakomity słuch, i że wszelki szelest dochodzi doń na znaczną nawet odległość. Lód i woda są dobrym przewodnikiem dźwięków, to też eskimosi w swych futrzanych butach stąpają cicho, jak duchy. Mówią tylko szeptem, nawet w obozie. Psy, karmi się dobrze, by nie wyły, i pilnuje zbliska, by się nie gryzły.

Tuż nad wodą, gotowe do wyruszenia leżały oomiaki, ukryte za szańcem z lodowych brył. Za takim samym szańcem stróżował eskimos, stary Itkelerik. Brutalna twarz, „wykładana“ mozaiką z kościanych krążków, wrosłych w ciało, była pełna dostojnej powagi. Los łowów, na przeciąg paru godzin, zależał wyłącznie od jego oczu.

Liljowy mrok, przesycony srebrnym odblaskiem śniegów, snuł nieskończoną gamę barw i tonów. Zalegał szafirem i czernią w głębokich wyrwach, lśnił jak polerowana stal na ostrych krawędziach, kwitł niby kiście bzu u miękkich zboczy, i pysznił się niepokalaną bielą tam, gdzie się słała równina. Tajemniczy prąd niósł po sinej wodzie małe lodowce, i zbite w bryły puchy śnieżne, trąc nimi o brzeg, szeleszcząc, szemrząc i wzdychając.

Pani Vallace zjadła kawał pieczonej foki, i otulona w futra, usnęła na dużej bryle lodu, tworzącej obszerne łoże. Usnęła tuż nad brzegiem, pewna, że w ten sposób nie straci nic z ewentualnych łowów.

Obudził ją cichy szept strażnika; uniosła się na łokciu. Itkelerik, wyciągniętym palcem wskazywał kierunek. Bezszelestnie zwróciła głowę i spojrzała. Opodal, nad wodą, unosił się ciemny jakiś kształt. Zdawało się, iż to wulkaniczny wstrząs wynurza na powierzchnię nową wysepkę.

Od namiotu, sunąc jak zjawy po śniegu, nadbiegali łowcy. Żaden dźwięk nie dawał się słyszeć. Porozumiewali się gestami tylko.

Wieloryb zamarł na chwilę; zdawało się nawet, że się ponownie chce zanurzyć. Ale nic. Wychynął naraz ku górze, olbrzym prawdziwy, zasapał i wyrzucił w powietrze strumień wody.

Na brzegu zakotłował się radosny ruch. Oomiak piorunem zepchnięto na głębię. Ludzie skoczyli do wioseł. Białej kobiecie wepchnięto także wiosło w rękę. Łódź leciała po wodzie w ogromnych rzutach. Jim, stojąc na dziobie, ważył w dłoni harpun z dynamitowym nabojem. Obliczył przestrzeń, zmierzył, cisnął. Huk targnął powietrzem.

Woda rozstąpiła się przed potwornem cielskiem, uchodzącem w głąb. Krótka fala zachwiała łodzią. Wiosła wzięły wolniejsze tempo, i oomiak jął zataczać kręgi w oczekiwaniu dalszych zdarzeń. Jim, z zegarkiem w dłoni śledził mknący czas. Narazie często, potem coraz rzadziej spoglądał na wodę. Wreszcie machnął ręką i rzucił rozkaz:

„Do brzegu!“

A potem w formie usprawiedliwienia:

„Minęło pół godziny. Gdyby miał wogóle wypłynąć, już od piętnastu minut powinien by tu być. Chybiłem go“...

Łódź zmieniła kierunek. Krajowcy, strapieni ponuro rozglądali się wkrąg. Naraz jeden krzyknął, wstał, porwał fuzję i strzelił. Za pierwszym strzałem nastąpiły dalsze: cała kanonada. Kule uderzały w wodę z matowym chlupotem. Jak grad leciały oszczepy. Łódź gnała oszalałym pędem, w pogoni za nową zdobyczą.

Delfin, on to był bowiem, nurkował, usiłując ujść pogoni. Jednakże, ranny pierwszym zaraz strzałem, nie mógł długo wytrzymać pod wodą. Co chwila na fali ukazywał się wrzecionowaty kształt, łyskający to bielą, to czernią.

Wreszcie martwego wyciągnięto na brzeg. Śnieg nasiąkł zaraz krwią. Chciwe oczy oceniały ilość zdobytego mięsa. Ale, że tradycja nakazywała dziękczynne modły, zaraz po odbyciu pomyślnych łowów, więc odmówiono „Ojcze nasz“ pod przewodem Jima. Potem przystąpiono do uczty, z niewysłowioną rozkoszą rwąc zębami surowe mięso.

* * *

Pani Vallace przebyła cztery doby w obozowisku eskimosów; żyła w zupełności ich życiem. Po dwu dniach, wyczerpawszy zapas konserw, jadła pieczenie z foki lub delfina, oraz suchary, twarde i cuchnące łojem. Spała we wspólnym namiocie, z powodu silnego chłodu, nie zdejmując nigdy odzienia. O myciu tembardziej nie mogło być mowy, i to było bodaj najcięższe. Krajowcy twierdzili coprawda, że brud chroni od zimna; stanowiło to jednak słabą pociechę. Futra nigdy dokładnie nie suszone, nasiąkły wilgocią, stały się szorstkie i twarde. W normalnym czasie rada na to jest bardzo prosta: kobiety eskimoskie godzinami całemi trzepią je, su-

szą ,wietrzą, i cierpliwie miętoszą przy pomocy rąk i zębów. Ale tu nie było nawet odzieży na zmianę.

Dnie ciche i ciepłe, jak na podbiegunowy klimat, wlokły się sennie. Żadnych nowych wrażeń. Woda, w obramowaniu białych brzegów, drzemała w tajemniczem skupieniu. Nic nie wyrastało z jej głębi. Płytka fala coraz wolniej biła o śnieżne zbocza. Poprzez osłonę z mgieł, słońce siało srebrny blask, przenikliwy, wszędobylski i ostry. Zdało się, że cała kopuła niebios fosforyzuje i świeci. Świecą i fosforyzują lodowce, śniegi, woda, aż oczy bolą patrzeć.

Pani Vallace nie zdejmowała już wcale ciemnych okularów; pomimo to, powieki jej poczerwieniały i opuchły. Widziała tak źle, że o parę kroków trudno jej było twarz rozróżnić. A gdy jednocześnie Jim zapewniał, że przy tem cieple i ciszy wieloryba niema się co spodziewać, postanowiła ruszyć w powrotną drogę.



P. J. Błeszczyński z ubitym rysiem.

Szedł z nią Kiasik, oraz sanie, zaprzęgnięte w dziewięć psów. Wobec możliwości, że lód zacznie pękać lada chwila, należało podróż odbywać jaknajśpieszniej. Zresztą, udzielono podróżnym szeregu rad, jak się mają zachować wrazie takiej lub innej okoliczności.

Przed samym już odjazdem strażnik zauważył na wodzie czarną, krągłą plamę. Był to łeb foki. Dano doń kilkanaście strzałów, z których trafiły dwa; w czasie podbiegunowej mgły bardzo trudno jest określić odległość. Zdobycz wyciągnięto na brzeg, poćwiartowano, i spory kawał posłano do wioski w upominku.

Dano sygnał odjazdu. Psy skoczyły z miejsca jak oszalałe; najedzone do syta, niosły sanie z zawrotną szybkością. Przodownik Patsy, z nosem przy ziemi, wiódł cały zaprząg. Sanie chwiały się i zataczały po wybojach, przeskakiwały drobne wyrwy i ze zmarzłego śniegu wydobywały metaliczny oddźwięk.

Wkrótce jednak szlak stał się cięższym, i tempo osłabło. Ludzie zeskoczywszy z sań, musieli je podpierać i unosić. Głęboką szczelinę przebyto tak, jak i poprzednio, czyniąc pomost z paru lodowych brył. Poczem ruszono wzdłuż wody, upatrując bardziej dogodnej drogi, którąby wiodła ku lądowi.

Godziny płynęły wolno w ciężkiej pracy. Uprzednio przetarty szlak zaniosło śniegiem. grzebiąc go i kryjąc. Sanie zjeżdżały nieraz nad sam brzeg kanału, na oślizgłych zboczach z trudem utrzymując równowagę. Woda, coraz szersza, coraz głębsza i coraz bardziej czarna, przyniosła naraz śród drobnego wiru parę złomów lodu, otarła je o wystającą krawędź i powlokła dalej. Kiasik stanął, jak wryty, spojrzał i wskazując palcem, oznajmił:

„Kra!“

„Tak!“ — zgodziła się pani Vallace, nie rozumiejąc wcale o co chodzi.

Ale eskimos dziwnie zaaferowany, wstrzymał psy, i powierzywszy pieczę nad niemi białej kobiecie, sam ruszył szybko wzdłuż kanału. Szedł zgięty ku ziemi, przystawał często, badał przeciwny brzeg i horyzont. Czasem rzucał do wody ułamki lodu, lub śnieżne bryłki, i obserwował je potem uważnie. Wreszcie wrócił do swej towarzyszki i spokojnie powiódł ręką wkrąg.

„Płyniemy!“

„Co takiego?“

„Płyniemy! Lód ruszył“.

Zatrzęsła się cała w lękliwym dreszczu; objęła wnet myślą ogrom nieszczęścia. Śmierć z głodu i zimna, gdzieś w bezkresnej pustyni, wydała się nieuniknioną i bezmiernie nędzną. Plany ratunku osaczały mózg gmatwaniną myśli.

„Kiasik, na drugi brzeg, na drugi brzeg prędzej! Wrócimy do obozu Jima!“

Krajowiec, bardziej z tego rodzaju niebezpieczeństwem obyty, filozoficzniej je przyjmował. Żuł zwitek tytoniu i milczał. Oczy jego natomiast mierzyły zaporę wodną. Była już tak szeroka i pogłębiona tak znacznie, że należałoby się chyba puścić wpław, przy takim mrozie, w ciężkiem, futrzanem odzieniu.

Przecząco pokiwał głową. Nie! Tu śmierć byłaby naprawdę nieuniknioną.

Po krótkiej naradzie, ruszyli znowu wstecz, w poszukiwaniu brodu. Mieli nadzieję, że może prąd i wiatr, który się w międzyczasie zerwał, zbliżą ku sobie dwa białe lądy. Ale nadzieja było próżną;

przeciwległy brzeg oddalał się raczej coraz bardziej.

Przystanęli znużeni; sześć godzin minęło od chwili opuszczenia obozu Jima. Ręce i nogi zesztywniały już lekko i wolniej wykonywały niezbędne ruchy.

Co robić? Pani Vallace wydobyła notes, w którym parę dni temu, dla rozrywki rysowała plan okolicy. Małe czarne kółka oznaczały obozowiska łowców. Jęła je gorączkowo badać. Przypomniała sobie, że obóz Ookonosuka leży o parę mil na północ, na wyniosłem wzgórzu, i podobno widać zeń wody kanału. Tu mógł być ratunek. Ookonosuk miał oczywiście łodzie.

Nastała krótka narada. Należało się śpieszyć z powzięciem tej lub innej decyzji, bo każda chwila zwłoki mogła być śmiertelną. Trudno było obliczyć, jak długo jeszcze olbrzymia, niosąca ich kra, zostanie śród innych lodowców. Prąd mógł ją lada moment wynieść na pełne morze.

Postanowiono iść w kierunku obozu Ookonosuka.

Co to była za droga! Poprzez lodowe rumowiska, zwały ostrych brył, jamy, parowy i przepaście, ludzie darli się na kolanach i na czworakach nieraz. Psy znaczyły drogę krwią pociętych łap. Sanie grzęzły w śniegu, wywracały się, staczały się w dół. Trzeba je było unosić, przepychać i przeciągać, z trwogą obliczając zmarnowany czas.

Kto idzie prędzej, kra, czy ludzie? Czy starczy im sił, by dotrzeć do kresu? Czy łowcy zauważą ich?

Pani Vallace oślepła niemal zupełnie. Nie mogła już rozpoznać ostrej bieli śniegu, od sinej przejrzystości lodu, i od szarzyzny lekko zawianych szczelin. Upadła raz i drugi. Coraz trudniej było wstawać; coraz trudniej iść. Traciła wciąż z oczu Kiasika i zaprząg, a nie miała już sił, by nań wołać. Poczciwy chłopak jednak sam zawsze ku niej powracał, pomagał, podtrzymywał i tłumaczył, że już blisko. „Kilka godzin drogi jeszcze!“

Wreszcie, w jakiejś kotlinie zemdlała prawie. Leżała zrezygnowana i pewna, że nie minie jej śmierć. Lepsza była zresztą śmierć, niż ta męczarnia. Kiasik musiał ją długo trząść i błagać, nim wstała na nogi. Ale nie chciała kroku postąpić. Po co? I tak nie dojdzie! Ze łzami w oczach przysięgał, że są tuż.

Krwawym śladem psów wlokła się, jak lunatyczka; pewna, że każdy krok jest ostatnim, że stąpnie jeszcze tylko jeden jedyny raz. Nagle Kiasik krzyknął, że widać ludzi, a wnet potem jął strzelać w powietrze i wrzeszczeć, jak warjat. Pani Vallace legła na śniegu wygodnie, na wznak i usnęła. Usnęła tak twardo, że nie zbudził jej nawet gwar licznych głosów i śmiechy. Dopiero pryśnięcie w twarz wodą, doprowadziło ją do przytomności. Usiadła, potem wstała. U brzegu chwiała się łódź, a w niej pięciu eskimosów z Ookonosukiem na czele, za boki się brało ze śmiechu. Przygoda białej kobiety wydawała się im najkomiczniejszą w świecie humoreską.

Znużonych wędrowców umieszczono w łodzi, poczem wniesiono do niej sanie i wprowadzono psy. Po chwili oomiak przybił do drugiego brzegu. Do namiotu było zaledwie kilkaset kroków, a pod namiotem płonął ogień, gotowała się polewka z krwi delfina, i nęciło do snu miękkie łoże z niedźwiedzich skór.

Wypoczynek jednak trwał krótko; kilka godzin tylko. Należało bądź co bądź, dotrzeć do wsi, a każda chwila zwłoki groziła nową komplikacją. Ookonosuk, węglem na kawałku skóry wyrysował plan drogi najpewniejszej i najbliższej, wynoszącej jednak około trzydziestu pięciu mil. I rozpoczął się ostatni etap podróży.

Po gładkim szlaku sanie płynęły równo, niby łódź. Płaszczyzna słała się wprzód i wstecz, bokami obrzeżona zwałem lodowców. Widmowe góry i baszty, piramidy i rumowiska skalne, białe, sine, srebrne, piętrzyły się tysiącem załamań. Znużone psy biegły wolno, i korowód bajecznych widziadeł sunął wstecz niedostrzegalnym niemal ruchem.

Szlak opadł lekko w dół, zagmatwał się nieco, i rozsnuł wkoło lodową toń, gładką i krągłą, niby zamarzłe jezioro. Daleko na przodzie majaczył zębaty brzeg. Przodownik Paksy nastawił uszy, jak dwie czarne kity, ogon wziął pod siebie i ruszył cwałem. Cała sfora zgodnym wysiłkiem podtrzymała tempo. Sanie zatoczyły się nieco i pognały zawrotnym pędem.

Pani Vallace ocknęła się z półsnu i ciekawie rozejrzała się wkrąg. Zdało się jej, że śni. Przetarła powieki i spojrzała wstecz. Jeśli to był sen, to sen ten trwał w dalszym ciągu. Chwyciła Kiasika za rękaw, szepcząc niepewnie:

„Co to takiego?“

Chłopak nie odwrócił nawet głowy. Oczy jego zdały się być przykute do przeciwległego brzegu. Wzruszył ramionami.

„Cóż, lód! Świeży, cienki lód!“

Lodowe jezioro ożyło. Powierzchnia jego gięła się i falowała, jak faluje trawa na łące pod tchnieniem wiatru. Bieg sani znaczył wyraźnie bróździę, wklęsłą głęboko; zataczały się od niej kręgi i półkola, płynne i chwiejne.

Pani Vallace zrozumiała naraz to, co dawno wiedział każdy z mknących w zaprzęgu psów, że jeśli sanie dla jakiejkolwiek bądź przyczyny staną, morze pochłonie je w mgnieniu oka.

Mija pięć minut, dziesięć, piętnaście. Brzeg coraz bliższy. Bliski zupełnie. Psy skaczą przez wąską

szczelinę o niewiadomej głębi; sanie przebywają ją szczęśliwie. Pryska tylko trochę wody i lód uchodzi bardziej w dół. Cwał zaprzęgu zmienia się w obłąkańczy pęd. Druga szczelina... zwał śnieżny... zakręt... Psy zwalniają biegu: wkoło twardy grunt.

Po paru jeszcze godzinach jazdy, wjeżdżając już do wsi, pani Vallace musiała przyznać, że na czas jakiś ma stanowczo dosyć wrażeń.

Jerzy Marlicz.

BROŃ i AMUNICJA.

W SPRAWIE ŁUSEK „POCISKU".

Wileńskie Towarzystwo Myśliwskie w zimie w roku 1924 — po ukazaniu się na rynku łusek fabryki „Pocisk", powodując się chęcią popierania rodzimego przemysłu, zażądało od obu właścicieli składów broni w Wilnie, pp. Stefanowskiego i Zienkiewicza, sprowadzenia łusek „Pocisk", uzależniając od zastosowania się do tego żądania dalsze zakupy amunicji.

Łuski zjawiły się na półkach obu składów i patrjotyczni Wilnianie pośpieszyli nagwałt zaopatrywać się w krajowy artykuł. Lecz rozczarowanie nie kazało na siebie długo czekać.

Ja osobiście miałem wówczas „Browning" 16 cal. i wybierając się na kaczki, zrobiłem odrazu 100 ładunków. Tylko myśliwy zrozumie, jakie miłe miałem chwile, gdy przekonałem się, że mój automat nie repetuje wskutek tego, że słaba tektura łusek zbytnio się rozdęła i automat pomimo wyrzucanych przy strzale łusek, nie podawał ładunków, które ugrzęzały w połowie drogi.

Tyle mego własnego doświadczenia i więcej oczywiście, próbować nie mam chęci. Inni członkowie Wil. Tow. Myśliwskiego, którzy również zaopatrzyli się w powyższy krajowy artykuł, doznawali może nie mniej przykrego rozczarowania, gdyż łuski ładowane po raz drugi, wskutek słabości kominka, prawie bez wyjątku, powodowały wtłaczanie się kapiszona wgłąb, a więc brak strzału.

Że sprawa ta jest aktualną i bolącą nas wszystkich, poświadczyć może pan redaktor P. M. i Ł. P.— Juljan Ejsmond, którego na długo przed ukazaniem się notatek i uwag o łuskach fabryki „Pocisk" na łamach „P. M. i Ł. P." prosiłem coś zrobić, by administracja „Pocisku" zechciała zwrócić uwagę na braki wyrabianych łusek.

Mojem zdaniem, ratując reputację łusek „Pocisk", o ile one od wiosny roku 1924 uległy pewnemu ulepszeniu, należy wszystkim życzącym, wysyłać na próbę kilka ładunków, by mogli się przekonać o jakości obecnych ładunków, które są podobno znacznie lepsze od dawnych. Chcielibyśmy się o tem przekonać. *Dr. Cz. Koneczny.*

DOMOWY SPOSÓB PRZYRZĄDZANIA PŁYNU DO CZYSZCZENIA BRONI.

W styczniowym numerze „Przeglądu", w artykule, dotyczącym wyrobu łusek „Pocisk", znalazłem wzmiankę, iż proch bezdymny i płyn do czyszczenia broni, po użyciu prochu bezdymnego — musimy sprowadzać z zagranicy.

Nie będę się spierał, co do prochu, na wyrobie takowego bowiem się nie znam, co zaś do wszelkiego rodzaju Ballistolów — pozwolę sobie przytoczyć parę słów i spostrzeżeń, zdobytych wieloletnią praktyką.

Przed wojną smarowałem broń Ballistolem, z doskonałym wynikiem. W czasie wojny Ballistolu trudno było dostać, a gdy raz za drogie pieniądze dał mi sklep jakiś płyn inny, o konsystencji wody— przypomniałem sobie, że parę lat temu w „Łowcu Polskim" był wydrukowany przepis na płyn do czyszczenia broni. Odszukałem takowy, zrobiłem go sobie sam i smaruję nim strzelbę od roku 1915 do obecnej chwili, będąc bardzo zadowolonym. Strzelbę mam Pirleta, kupioną w roku 1907 w Spółce Myśliwskiej. Strzelam tylko bezdymnym prochem, bywały lata, że bardzo dużo strzelałem. Czyszczę i utrzymuję bardzo starannie. Do roku 1915 smarowałem Ballistolem, następnie przez 10 lat tym nowym płynem — lufy są zupełnie gładkie i czyste, mogę się powołać na sąsiadów z Sandomierskiego, którzy broń tę znają.

Słów tych parę piszę w celu obznajmienia kolegów myśliwych z tak prostym, a tanim preparatem, a że go od 10 lat stosuję, śmiało polecić go mogę. Z początku niedowierzająco się do niego odnosiłem właśnie z powodu jego prostoty — obecnie jestem pewny, że zastępuje zupełnie dobrze drogie Ballistole, a najważniejszą zaletą jego jest, że z zagranicy nie potrzebujemy go sprowadzać. Składa się z $^2/_3$ oleju rzepakowego i $^1/_3$ benzyny, miesza się doskonale, tworzy płyn jasno-żółty, zawsze jednakiej gęstości, parę lat nawet stać może, nie zmieniając swego wyglądu i działalności, gorąco przeto polecam wszystkim myśliwym fabrykację tego płynu, aby nawet w takich drobiazgach uniezależniać się od zagranicy i nie wysyłać pieniędzy z kraju.

Henryk Rudzki.

Gorzków, p. Iwaniska.

„Łowiec" Nr. 1.26. (lwowski) wyszedł i zawiera: „Na Rok Nowy". Seweryn Krogulski — Pół Wieku. Edwardowa Dubanowiczowa — Wielki myśliwy. Dr. W. B. — Automat a dziki. Mistrz Kotmistrz — Kronika stara podarta i licha, u której nie jednej karty nie dostało. Przed śniegiem. Władysław Czerniejewski — Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach. Notatki bibljograficzne. Szlachta drobna na Polesiu z pamiętników i notat ś. p. Jana Gluzińskiego. Sprawy Towarzystwa. Sprawozdanie z posiedzeń Wydziału. Korespondencje. Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli. Z wydawnictw.



Dnia 29 grudnia 1925 r. odbyło się doroczne polowanie w 14 strzelb w majątku Podhorce-Leopoldów (pow. Hrubieszowskiego) p. Stanisława Sękowskiego. Horoskopy przed polowaniem smutne były, bo trwająca od wigilji odwilż, nie zapowiadała nic dobrego, a do tego dzień przed polowaniem lał deszcz. To też z wielką ulgą powitaliśmy ranek 29 grudnia — deszcz ustał — zapowiadało się na wypogodzenie. — Godzina 8-ma rano padły pierwsze strzały, bo gospodarz wyraźnie zapowiedział, że na spóźniających się czekać nie może z powodu dużej ilości miotów, które mamy opolować. — Pierwszy miot wprawił nas wszystkich w zdumienie, bo oprócz kilkunastu bażantów, które gospodarz od roku zaprowadził — zajęcy ani śladu. Dopiero następne mioty pokazały, jakie bogactwo zwierzyny kryje w sobie mały las Podhorski. Rezultat był świetny, padło 138 zajęcy i 1 lis, gdy w zeszłym roku przy mroźnej pogodzie padło 62 zające, a w roku 1923 — 32 zające. Królem polowania był brat gospodarza, p. Jerzy Sękowski — mając na rozkładzie 19 zajęcy i lisa. Wynik polowania wprawił wielu z myśliwych w takie osłupienie, że zapomnieli pogratulować gospodarzowi jego starań — uwieńczonych tak pomyślnym skutkiem.

To też na tem miejscu raz jeszcze składam Kochanemu Gospodarzowi najserdeczniejsze dzięki za tak miłe chwile, spędzone w lesie Podhoreckim, życząc mu, by nadal wytrwał na tej drodze ochraniania i pomnażania zwierzyny i by nadal przodował rezultatem polowań w powiecie. *O.*

1) Dn. 7 grudnia 1925 r. odbyło się polowanie w Kisielewie u p. Smoleńskiego, pow. lipnowski. Strzelb 11-cie, polowano 1200 mg. pola, zabito 42 zające. Królem polowania był p. Władysław Niedźwiecki, mając 8 zajęcy na rozkładzie. Słaby rezultat polowania przypisać należy nadmiernie rozwiniętemu na tym terenie kłusownictwu.

2) Dn. 14 grudnia 1925 roku odbyło się polowanie w Wierznicy, u p. Władysława Niedźwieckiego, pow. lipnowski. Strzelb 12-cie, opolowano 2000 mg., w tem połowa terenu włościańskiego, pierwszy rok dopiero dzierżawionego, zabito 161 zajęcy i 1 lisa. Królem polowania był sam gospodarz, mając 23 zające na rozkładzie. Strzelano tylko $^2/_3$ kotła, pozostałe zające wypuszczono bez strzału. Wobec racjonalnej ochrony i energicznego tępienia kłusownictwa; w tym roku trzem kłusownikom broń odebrano, zwierzostan o wiele lepszy, niż przedwojenny. Rozkład również byłby większy, gdyby nie myśliwi, którzy wystrzeliwując 80 do 100 naboi, niemieli ani jednego zająca na rozkładzie.

3) Dn. 28 grudnia 1925 roku odbyło się polowanie w Tulibowie u państwa Gościckich, pow. lipnowski. Strzelb 14-cie, opolowano 1800 mg. pola, zabito 115 zajęcy.

4) Dn. 28 grudnia 1925 roku odbyło się polowanie w Olesznie u p. Karnkowskiego, pow. lipnowski. Strzelb 12-cie, opolowano 1200 mg. pola, padło 53 zające.

5) Dn. 29 grudnia 1925 roku odbyło się polowanie w Dęblinie u p. Pruskich, pow. lipnowski. Strzelb 9, opolowano 900 mg. pola, zabito 69 zajęcy. Królem polowania był p. Władysław Niedźwiecki, mając 20 zajęcy na rozkładzie. Strzelano tylko w $^2/_3$ części kotła, pozostałe zające wypuszczono bez strzału. Rozkład mógłby być dużo lepszy, gdyby teren ten nie graniczył z włościańskiemi gruntami, na którym poluje kilku strzelców z kartami łowieckiemi i wybiwszy bupełnie zwierzynę na swoim terenie, ustawiają się nad granicą i posyłają chłopaków na cudzą stronę, żeby im zwierzynę przyganiali, co też dało się zauważyć podczas polowania. Granica była obstawiona tymi pseudo-myśliwymi ścierwiarzami, którzy czychali na wymykające się zające na ich teren.

6) Dn. 7 stycznia 1926 roku odbyło się polowanie w Siecieniu u p. Duczymińskiego, pow. płocki. Strzelb 11-cie, opolowano 1300 mg. pola, zabito 67 zajęcy. Królem polowania był p. Władysław Niedźwiecki, mając 18 sztuk na rozkładzie.

7) Dn. 9 stycznia 1926 r. odbyło się polowanie w Wielgiem u p. Płoskiego, pow. rypińskiego, opolowano 1400 mg. pola, zabito 113 zajęcy. Królem polowania był p. Tadeusz Łukowicz, mając 19 sztuk na rozkładzie. *Tadeusz Łukowicz.*

Dnia 14 i 15 stycznia 1926 r. odbyło się polowanie w Brzozowicy i Kąkolewnicy, w lasach państwowych, dzierżawionych przez p. St. Leskiego z Kąkolewnicy. Zabito 134 zajęcy, 7 lisów i 3 cietrzewie.

I-szy dzień: Brzozowice: Zabito w 16 strzelb 68 zajęcy, 4 lisy i 2 cietrzewie, strzałów 199.

Najwięcej zabił p. Kotarbiński: mianowicie 9 zajęcy.

II-gi dzień: Kąkolownica: Zabito w 17 strzelb 66 zajęcy, 3 lisy i 1 cietrzewia. Królem był p. Skarzyński, mając 10 zajęcy. Strzałów 173.

Królem dwudniowego polowania był p. E Skarzyński z Rybienka, zabijając 16 zajęcy. Do kozłów nie strzelano. Polowano w lesie 20 miotów, oprócz jednej strefy polnej. *Janusz Jaworski.*

Dnia 29 grudnia 1925 r. w majętności Wysoka, pow. Tuchola (Pomorze), należące do pana senatora dr. L. Janty-Połczyńskiego, odbyło się polowanie. Pogoda nie bardzo sprzyjała, po. południu padał deszcz.

W 12 strzelb ubito 53 szaraki i 1 królika. Królem polowania był p. Osiński, państw. nadleśniczy z Woziwody, który miał na rozkładzie 11 sztuk.

Troskliwa opieka i racjonalny odstrzał zwierzyny daje się zauważyć na opolowanej powierzchni 300 ha, widziano około 150 szaraków. Gdyby za tym przykładem poszła reszta właścicieli polowań na Pomorzu, wówczas możnaby się spodziewać świetniejszych rezultatów.

J. Świgoń.

Dnia 18 stycznia r. b. odbyło się polowanie w Hołubiu, powiatu hrubieszowskiego, własność p. Eustachego Świeżawskiego. Żałować należy, że po dziś dzień nie wyczytaliśmy sprawozdania z pierwszego polowania, które miało miejsce w dniu 16 grudnia r. ub., bo zupełnie zasłużone pochwały, głoczone ustnie przez uczestników tegoż polowania, a umieszczone na łamach „Przeglądu Myśliwskiego“, dałyby nam dokładny obraz i wskazówki, jak należy traktować hodowlę zwierzyny i prawdziwe myśliwstwo. Według informacji, zasięgniętej u jednego z uczestników pierwszego polowania, padło w rewirze Piaseczna 108 zajęcy, dwa dziki, jak również 1 lis, poszły chybione. Siedmiu myśliwych zawiodło, wskutek czego rozkład nie odpowiadał prawdziwemu stanowi, znajdującej się w Hołubiu zwierzyny. W każdym prawie miocie widziano rudle z kilkunastu sztuk sarn złożone.

Dnia 18 stycznia r. b. polowaliśmy częścią w lesię, częścią biorąc polne mioty. W pierwszym dziczem tylko pędzeniu, strzelił p. Krzeczunowicz z Jaryczowa więcej niż średniego wycinka. Druga sztuka przedarła się przeznagankę.

W następnych miotach widywano mnóstwo zajęcy. Ostateczny rezultat: 1 dzik i 73 zające.

Dla ścisłości zaznaczam, że wzięto tylko 6 miotów, gdyż ekspedycja po dzika, znajdującego się w innym rewirze, zabrała nam około dwóch godzin czasu. Rozrzucony po linjach jarmuż i rozstawione lizawki, świadczą o dbałości i traoskliwości p. Świeżawskiego w kierunku podniesienia u siebie zwierzostanu, a Hołubie może być przykładem dla wszystkich hrubieszowskich nemrodów.

Królem polowania pod względem jakości był pan Krzeczunowicz, mając na rozkładzie 1 dzika i 2 zające —, pod względem ilości p. Mieczysław Kruszewski z 14 zającami.

Nader miły i serdeczny nastrój, jaki panował po polowaniu, aż do późnej nocy, dopełnił całości.

Stanisław Sękowski.

Z SANDOMIERSKIEGO.

Zwierzostan w naszej okolicy od zeszłego roku znacznie się poprawił. Najlepszym tego dowodem są rezultaty tegorocznych polowań:

W listopadzie odbyło się polowanie w Sadłowicach (pow. sandomierski), majątku p. Józefa Świeżyńskiego. Polowano tylko na polach, na przestrzeni 600 morgów. Zginęło 176 zajęcy.

W grudniu r. ub. odbyło się polowanie w Słabuszowicach, majątku p. Romana Cichowskiego (pow. sandomierski). Polowano tylko w lesie. Padło 150 zajęcy i 1 lis.

Dnia 9 stycznia r. b. na polowaniu w Linowie, majątku p. Jana Cichowskiego, zabito w dwóch kotłach i trzech pędzeniach leśnych 315 zajęcy.

W grudniu r. ub. na polowaniu jednodniowem w Stodołach u p. E. Roguskiego, tylko na polach, padło 146 zajęcy.

Dnia 16 i 17 stycznia r. b. na polowaniu w Czyżowie i Winiarach, majątku p. Targowskich, padły 143 zające.

Dnia 12 i 13 stycznia r. b. w Łoniowie, maj p. hr. E. Moszyńskiego, padło 215 zajęcy i 2 lisy.

S. Cichowski.

Odpowiedzi od redakcji.

P. Benisławski. Dereszyn Nowogródzki. Z „Gazetą Myśliwską przemysłową“ nie mamy nic a nic wspólnego, ani my, ani „Łowiec Polski“. Oba nasze pisma ostrzegały już o tem Czytelników.

Co do skórek — damy w bliskim czasie informację w „Przeglądzie“.

MYŚLIWSKI

KONKURS FOTOGRAFICZNY

W związku z ogłoszonym w zeszłym numerze konkursem fotograficznym podajemy wykaz szeregu nagród które łaskawie zadeklarowały następujące firmy Warszawskie:

1) **H. Sawicki i S. Czerski, Królewska 31.** Nagroda podana będzie w następnym numerze;
2) **J. Sosnowski (wł. Cz. Lisowski) Ossolińskich 1.** Skórzana torba myśliwska;
3) **„Sport", Chmielna 33.** Nagrodę podamy w następnym numerze;
4) **R. Straburzyński i S-ka, Marszałkowska 146.** Ozdobny nóż myśliwski;
5) **R. Torchalski, Trębacka 7.** Skórzany pas do broni (kryty);
(6 **Warsz. Spółka Myśliwska, Królewska 17.** Nagrodę podamy w następnym numerze;
7) **R. Ziegler, Trębacka 10.** Futerał do broni z dwóch stron otwierany.

Redakcja: „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego".

Bezpłatny dodatek książkowy!

Z powodu opóźnień technicznych wyjdzie z druku dodatek na I półrocze b. r. „WILK" B. Świętorzeckiego dnia 15 lutego b. r. i dołączony będzie do № 4-go „Przeglądu„ wszystkim Szan. Prenumeratorom, którzy nie zalegając za rok 1925-ty wnieśli przedpłatę całkowitą na I półrocze b. r.

Za to opóźnienie mimowolne najmocniej przepraszamy naszych odbiorców.

Wydawnictwo: „PRZEGLĄDU MYŚLIWSKIEGO i ŁOWIECTWA POLSKIEGO".

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond.
Dyrektor Zarządzający: Benon Perzyński.

Wydawca: Myśliwska Spółka Wydawnicza (Sp. z ogr. odp.).
Zarząd: Juljan Ejsmond, St. Krzywoszewski, B. Perzyński.

Komitet Redakcyjny: Gen. Bron. Grąbczewski, Wł. Czerniejewski, Janusz Domaniewski, Józef Gieysztor, Wł. Janta-Połczyński. Adam hr. Rzewuski i Bolesław Świętorzecki.

Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 we środy w Ref. Łowieckim Min. Rolnictwa (Senatorska 15).

Redakcja i Administracja: Nowy Świat 21 (księgarnia Perzyński, Niklewicz i S-ka) tel. 107-37.

Cena numeru niniejszego **zł. 1.30** Prenumerata kwartalna **płatna z góry** wraz z dodatkiem (Bibljoteka Myśliwska) = **7 zł.**, miesięczna **zł. 2.50.** Konto czekowe w P. K. O. Nr. 7595. **Rękopisów Redakcja nie zwraca.**

Cena ogłoszeń: 1/1 str. **120 zł.** 1/2 str. **60 zł.;** 1/4 str. **37.50 zł.;** 1/8 str. **22.50 zł.;** 1/16 str. **12 zł.**
Pierwsza i ostatnia strona o 50% droższa.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.